

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 30 czerwca 1946 r.

Nr 26 (83)

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

Epilog tomu pierwszego

Wierszu mój, dziwne twoje dzieje.
Bo pomyśl: Rio de Janeiro
Było tych kwiatów oranżeria,
A tam — pamiętasz orchideje,
Flor de Ipê, Jasmin de Cabo,
Maracujã i Flamboyanty,
Sześciopiętrowe drzew giganty,
Kwiatami osypane krwawo? —),
A tam, powiadam, mało trzeba,
By z ziemi, jeśli łaska nieba,
Trysnęło co ci się zamarzy
I jeszcze więcej, nad marzenia —
Takie tam niebo, taka ziemia.
I nagle — jakbym wonne żniwo
Garściami z miodnej łąki zgarniał —
Z Copacabany, z Ipanemy,
Z Tijuca, z Botafoego, z Leme
Wybuchła polskich słów kwaciarnia.
I grzmi po Rio de Janeiro
Zgiełkliwa, pstra, jak jarmark perski
I jak karnawał cariocański,
A w niej — ogrodnik, nie floreiro,
Nje jardineiro brasileiro,
Lecz nasz przyjaciel, p. Dziewierski,
O, Rio Barw! O, Colorio,
Mozajek migające zmięją
Na wielkim łuku Avenidyl
O, Rio, kępo Atlantydy,
Cudem na globie ocalała
I trzymająca się lazuru
Maszłami palm, linami lian,
Zębami wzgórz i skał stromych!
Rio kolibrów wibrujących
Za oknem, w wilię, mgławym lolem!
O, Rio nocy nieruchomych
I brząsków z rozpalonej miedzi,
Przełatającej się w spiekołę!
Kto cię wymyślił? Kto wybredził?
Chyba ocean swym bełkotem
Wmówił cię brzegom ławowiernym
I wrzeźbił w ziemię cud bezmierny...
A inni mówią — i uwierzę —
Że to Stworzyciel, na spacerze,
Pijanym krokiem cię wylańczył,
Gubiąc po drodze palmy, skały,
Murzynów, kwiaty i upały...
Błogosławiona eskapado!
Dziękuję, Muilo obrigado
Za Rio i za wiersz wyganący.

* * *

Wierszu mój, w kłęsce, w bólu wszczęty,
Wężysko zamorskiego chowu!
Z kwiatów żeś powstał, psiry i kręty.
I w kwiaty się obrócisz znou.

JULIAN PRZYBOS

Cokolwiek w tej powieści długiej
Za ludzi mówię, czynię, czuję,
Gdy czule dzieje ich wierszuję,
Gdy piórem w oścych duszach dtubię,
Lub czegokolwiek niedomówię
Gdy w krzakach wierszy przyczajony,
Podglądam los ich nieznanomy
(Jak uczniak, z żądzy dygocący,
Nagim przygląda się służącym,
Wieczorem w rzece się kąpiącym:
Ciemnawo-złotym, połyskliwym,
Gdy wakacyjny księżyc pływa
W rozcieku miodu i oliwy —
I bulgocący słycać tercet:
Chichot i wody plusk i serce);
Gdziekolwiek tę gromadkę ludzką
Zapędzam poetycką różgą,
Na jakiegokolwiek przeznaczenia,
Skazuję ją, kapryśny rodzic, —
— Zawsze na pamięć mi przychodzi
Jej łajne, kwietne pierworództwo.
Jak sztukmistrz, co z cylindra głębi
Wyciąga wielobarwne wstęgi,
Wiązanki róż, rzucane damom,
Królików parkę lub gołębi
I szklankę wina — ja tak samo
Pod słów zaklęciem czarodziejskim,
Spod podwójnego dna pamięci,
Z głębi serdecznej i letęjskiej
Dobynam pasma dni kwiciste...
..Był sobie niegdyś bukiet wiejski.
(„Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były wzwyz i stromo“...
Już mi ten dwuwiersz mży legendą,
Już się śród jego liter przedą
Słoneczne nitki żalu, marzeń...),
Był jakiś ogród snów szumiących
I róż jak wróżb... I to rozjarzeń,
To gaśnień znów... I wrzuseń drżących...
Ach, tak się kocha po raz pierwszy
Był sobie...

Nagle wzrok przezierczy
Śród kwiatów dostrzegł ludzkie twarze...
I patrz — zza gęstych szlachet wierszy
Rozbłyśły wielkie oczy zdarzeń...
Tam są już LUDZIE!... Ach, nieszczęśny
Gorliwy uczniu czarnoksięski!
Przebrałeś czarodziejstwa miarkę...
Ach, wierszodzieju zatracony,
Coś ty rozpętał swym szalonym
Magicznym drążkiem firmy Parker!
Za szlachetami gęstych jambów
Grzmi burza losów, serc, pożądań...
Patrz!

Patrzę. Tak do rajy wglądał
Ciekawy swoich stworzeń Pan Bóg.

Tam, z kwietnych narodzeni przyczyn,
Ludzie swe losy wróżą z kwiatów
I liczą wiersze poematu,
Jak więzień dni zostało liczy.
Przypadli niespokojną zgrają
Do wierszowanych pręgów lśniących
I trwogą oczu, głosów wrzawą
O życie się dopominają,
O łatwy dzień, o noc. łaskawą,
Jak pod balkonem wielkorządcy
Wzbudzony tłum o chleb i prawo.
Chcą szczęścia. Proszą, by im, żywym,
Szczęście na wicherze wierszy przywiąć —
Jednym to małe: „Być szczęśliwym“,
Innym to wielkie: „Uszczęśliwić“.
Wierszu mój z żalu, jak stół z drzewal
Wierszu z tęsknoty, jak dom z cegiel
Syrena nad wiślanym brzegiem
Cichutko, jednostajnie śpiewa,
Że Wisła płynie, Wisła płynie
I co ma przetrwać — trwa w głębinie.
Wierszu mój, ścisły jak zapłoty
Srebrnostrunnego jej warkoczał
Z wiązanki róż, rzucane damom,
Jak źródło z kamienistej ziemi...
O, wierszu z gruzów i kamieni
Ojczyzny mojej i młodości!
Płyn, wzbieraj, nurcie namiętności,
Łzami grający tęczowymi!
Wydużaj się — wyciągaj — sięgnij
Dnia-Tam, Dnia-Domu, Dnia w krainie,
Gdzie (słuchaj! słuchaj!) Wisła płynie,
Z płynącą Wisłą bieg swój sprzęgnij,
Rozchyl spragnione wargi rymów
I pij — i chłoń — i czule wymów
Te dwa wyrazy, godne księgił
Wierszu, rodzona moja mowo,
Polsko, matczyne moje słowo,
Matko, dla której żadnych nigdy
Słów nie znalazłem, prócz modlitwy,
Matko, co swemu niemowlęciu
Śliczności wspaniewywałaś tklive,
Do dziś szumiące w głowie siwej,
A chłopcu mazurkowe zwrotki,
Gdzie dźwięk z oddźwiękiem się sprzymierzał,
Wprawiając serce w podziw słodki,
I nauczyłaś go pacierza,
A potem „ty jesteś jak zdrowie“, —
— A wszystko było w jednej mowie,
W tej samej, którą dziś, struchlały,
Nadziei pełen i rozpaczy,
Śpiewam dwusłowy hymn proslaczy,
Jakby to był poemat cały:
Że Wisła płynie... Wisła płynie...
Matko i wierszu i ojczyzno,
Umitowani trój-jedyniel

Płonę i dzwonię: „Wisła płynie!“
Poszum jej gonie: „Wisła płynie!“
I przed Poezją zasluchaną
Zeznaję jak przed trybunałem:
Że ja, co mowy tej caliznę
Do dna miłością przeorałem
I znam jej żwir i piasek złoty,
Czarnoziem, węgiel i klejnoty,
I jak jagody do kobiałki
Zbierałem rośne jej rozblyski
I dźwięków samorodny kruszec
Z mięsistych kwiatów brazylijskich,
Z drzew w White Plains, z trawy w Massachusetts
Ja, wdany w żywot jej korzeni,
Pnia i gałęzi i zieleni,
Jak pszczoła w plastry barci leśnej,
Ja, co jej prawdę chwytam bystrzej
Niż usta świeży miąższ czereśni,
Ja — radośniej srebryjszej
W polszczyźnie nie słyszałem pieśni...

Rzeko, co wiernie w swojej fali
Warszawskie powtarzałaś gwiazdy
I każdy świt i każdy zmierzch,
Jak się powtarza piękny wiersz
(Płynnie i drżąc — a czasami
Głos ze wzruszenia się załamie,
Jak światło w strumienistej wodzie,
Lecz jeszcze wdzięczniej, jeszcze słodziej
Toczy się wtedy razem z łzami),
O, rzeko, co na pamięć znałaś
Niebieskie nieba poematy
I strofy chmurek na wyrwyki
I sagi burz i zórz Iliady
I Pismo święte naszych gwiazd —
Aż przyszło ci, pieśniarko szara,
Ogniem stolicy swej zapalać
I wyć, gdy wycie usłyszałaś
Warszawy, Hioba polskich miast!
Gdy się nad tobą strop rozstrzaskał,
Płynęłaś w purpurowych blaskach
Tym samym prądem niewzruszonym,
Płynęłaś dumnie i swobodnie,
A domy miasta, jak pochodnie,
Lecz odwrócone w dół żalobnie,
Pochodem w tobie szły czerwonym...

Wrócimy, Wisło, po tę czerwień,
W głębinie twej chowaną wiernie,
Wrócimy z wichrem, zbrojnym w gniew
I w nową młodość, wiarę nową...
Ten wicher — naszą pięć poderwie
I blask i krzyk i wiersz i krew!

Upowszechnienie czego?

Hasło brzmi tak wymownie propagandowo, że nie trzeba określać doprecyzować, żeby zgadnąć, co należy upowszechnić. O upowszechnieniu pisze się w prasie wszystkich stronnictw, o upowszechnieniu rozprawa się na zjazdach, propagatorzy pragną tym zawołaniem skrzyknąć oświatowców i artystów, nauczycieli i uczonych. Hasło upowszechnienia wisi jak przykazanie nad głowami tego ministerstwa, które samą swą nazwą czuje się powołane do jego realizacji. Ministerstwo Kultury i Sztuki uważa za swój obowiązek upowszechniać kulturę i sztukę.

Słuszność samej zasady wydaje się tak uzasadniona, że nikomu, jak dotychczas, nie nasuwały się wątpliwości, czy sprostać jej może jedno ministerstwo i to właśnie Ministerstwo Kultury i Sztuki, nikt też nie usiłował wniknąć w sens tego popularnego postulatu, nikt nie zadał pytania: co to znaczy upowszechnić kulturę i sztukę? Jeśli zaś chodzi o odpowiedź na pytanie: jak, to nawet ci, którzy, że tak rzekę, na ten temat urzędują, albo kreślą plany instytutu badawczego, wykraczające poza fantazję urzędu, albo nie przekraczają w planującej wyobraźni niewyraźnego obrazka jakiejś roboty świetlicowo-rozrywkowej.

Określmy pojęcie: Upowszechnić to znaczy udostępnić możliwie największej ilości ludzi. Lecz co znaczy — upowszechniać kulturę? Pojęcie o zakresie szerokim i o treści zniko-

mej! Upowszechniać kulturę — to chyba znaczy — robić wszystko, a więc w praktyce — nic. Tak też pojął swoją działalność istniejący do niedawna Instytut Krzewienia Kultury.

Nie wiadomo też, o jaką kulturę chodzi: Gdy się zagadnie zainteresowanych, mówią, że o duchową. Jeśli nawet pojęcie kultury ograniczymy do zakresu tzw. kultury duchowej, to i tak nie będzie jasne, co należy upowszechniać. Czy zwyczaj używania chusteczki do nosa to objaw kultury materialnej czy tzw. duchowej? Zapewniają mnie, że to zjawisko raczej z dziedziny kultury materialnej. Czy zadaniem Ministerstwa Kultury ma być także szerzenie kultury towarzyskiej? Narzucenie stylu wczasom robotniczym i chłopskim, dostarczenie repertuaru świetlicowo-rozrywkowego? Na te pytania nie uzyskałbym już jednoznacznej odpowiedzi.

W niejednej planującej głowie lęgną się zamysły zabarzone i wszechogarniające. Roi się niejednemu organizatorowi życia artystycznego, że w schematy urzędowego planu wpisać należy wszelakie przejawy amatorskiego artystycznego. Kółko dramatyczne w Niebylcu, kapela w Wólce, towarzystwo miłośników zabaw ludowych w Krakowie i wiele innych takich stowarzyszeń rozsiadanych po kraju — oto — powiadają — teren działalności Ministerstwa Kultury. Winno ono mieć, jak się to mówi, pieczę nad takimi związkami, dawać im

rady i wskazówki, kształcić instruktorów, rejestrować, organizować, subwencjonować, dostarczać kostiumów, repertuaru — i w ogóle dźwięgać, krzawić i upowszechniać. Noblesse oblige! Skoro jest urząd kultury, skoro go tak nazwano, niechże sobie stwarza pole działania, skoro jest organ, musi przecież istnieć dla niego funkcja. Kłopot jednak z tym, że szeroka działalność amatorsko-artystyczna mas wytworzyła już przedtem kilka własnych organów kierowniczych, że istnieje Instytut Kultury Wsi, że działa Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej, że organizują przejawy takiego życia kulturalnego świetlice, TUR, związki młodzieżowe, że — przede wszystkim — pracuje już jeden urząd państwowy do tego powołany: Departament Kultury i Oświaty dla Dorosłych w Ministerstwie Oświaty.

Źródło nieporozumienia bije w samej nazwie urzędu, nowego w Polsce. Winien on się nazywać: Ministerstwo Sztuki. Tak nazwany nie ulegałby pokusom biurokracji tego, co powinno się rodzić z inicjatywy społecznej, plenić jak samosiej, nie dążyłby do kierowania powszechnym pędem do kulturalnej rozrywki. Nie kłóciłby się z zadaniami dwu innych urzędów powołanych do upowszechnienia oświaty i kulturalnych przyjemności, z zadaniami ministerstw Oświaty oraz Informacji i Propagandy. Nie byłoby wtedy wątpliwości, co Ministerstwo Kultury

i Sztuki ma upowszechniać. Ma upowszechniać kulturę estetyczną.

Lecz jaką sztukę upowszechniać, jaki smak estetyczny kształcić? Doskonały smak estetyczny był i jest przywilejem nielicznych jednostek, dziełami sztuki rozkoszuje się w pełni szczupłe grono znawców. Te szlachetne i największe szczęścia, jakie daje prawdziwa sztuka, wciąż jeszcze nie są powszechne. Ale każdy człowiek ma potrzebę rozrywki estetycznej i szuka jej byle gdzie, większość konsumuje złą sztukę: czyta sensacyjną powieść, ogląda i chwali obrazy Styki i Wodzinowskiego, chodzi tłumnie do kina na Smosarską, wzrusza się słuchając „Tango notturno“.

Jeśli ktoś woli kiepskie piwo od szlachetnego wina, czy należy mu tego piwa odmawiać? Miałem na ten temat rozmówkę z liberałem, zwolennikiem puszczania życia społecznego samopas. Ale i on zgodził się ze mną, że — w każdym razie — złej sztuki nie należy popierać, choć, jak sądził, nie trzeba jej zwalczać. Porównanie z piwem, jak każde porównanie, kuleje: piwosz, jeśli szkodzi swojej wątrobie, nie szkodzi wątrobie innych; konsument złej sztuki, psując swoją wyobraźnię, wyrządza sobie i społeczeństwu cięższą krzywdę. Sztuka jest doniosłą więzią społeczną. Nie ma działania skuteczniej rozwijającego wyobraźnię i uczucie człowieka, niż działanie sztuki. Organizowanie wyobraźni naro-

dowej jest równie ważne, jak organizowanie nowego ustroju polityczno-społecznego. Narod bez wyobraźni nie ma przyszłości.

Należy więc zwalczać fałszyfikatry sztuki, tępić tych, którzy psują smak i rozstrajają wyobraźnię. Sądzę, że w równej mierze, jak popierała sztuki, zadaniem Ministerstwa Kultury i Sztuki, ale nie tylko tego ministerstwa, jest tępienie złej sztuki, to znaczy tego, co niewątpliwie jest i co niewątpliwie zostanie okazem brzydoty, a co produkują ci, którzy świadomie spekulują na skłonnościach najniższych, pseudoestetycznych nieoświeconego tłumu. Hierarchia wartości estetycznych jest sporna, ale istnieje granica, gdzie się one kończą i gdzie każdy człowiek kulturalny spostrzeże szkodnictwo. Urzędnik Ministerstwa Propagandy, który daje papier i zezwala na druk wydawnictwa „Co tydzień powieść”, powinien odpowiadać za szkodnictwo kulturalne. Czy jest jakaś cenzura masowej produkcji bohomasów, przedstawiających świętych? Te cukierkowe paskudztwa psują wzrok dziecka chłopkiego i wyrządzają szkodę trudną do naprawienia w szkole. Oko zepsute w dzieciństwie nie łatwo skierować na dzieło plastyki. Niebezpieczeństwem to jest szczególnie groźne na wsi, gdzie nie ma dobrych artystycznych wzorów, a samorodna twórczość ludowa skostniała. Jakież obraz na szkle namaluje chłop, który od dziecka patrzył na obraz świętego Antoniego, o buzi jak u lali fryzjerskiej? Kto ponosi odpowiedzialność za druk w odrodzonej Polsce „Sennika egipsko-chaldejskiego”? Kto aprobejuje wydawnictwo bzdurnego „Nowego świata przygod”, brzydkimi obrazkami kaleczącego oko dziecka? Dlaczego codziennie, wciąż i wciąż aż do młodości puszcza się w radio płyty z przedwojennymi i okupacyjnymi przebojami, po co to straszne wycie złych tang i złych piosenek? **Na nie najgorliwsze upowszechnianie, jeśli się będzie szerzyć oczywistą brzydotę i tolerować szkodnictwo kulturalne.**

Jasną myśl o tym, jaką sztukę należy upowszechniać, ma też hasło jakiejś osobnej sztuki dla mas, samorodnej sztuki ludowej czy sztuki proletariackiej. Uprawia się demagogię jakiejś swoistej, odrębnej kultury robotnika czy chłopca, głosi się, że obowiązkiem państwa jest opieka nad przejawami tej kultury czy kultur, a więc wspieranie i szerzenie tzw. samorodnej twórczości.

Tłucze się po kątach wstecznej ideologii myśl-nie-myśl, jakiś odwieczny, jeszcze romantyczny przesąd, czy tylko wczorajsze pobożne życzenie: że to, co się nazywa kulturą i sztuką ludową, jest wartością tak odrębną i samorodną, iż winno być zachowane i poszerzone jako rezerwat, z którego tryśnie źródło pierwotnej polskości, nieskażonej kosmopolityczną cywilizacją. Z tego źródła ma być sztuka polska, tak jak to czyniła przed laty; tam, w tych zastygłych formach chłopskiego obyczaju, w pieśni, obrzędzie, w malowankach na szkle — zaklęta jest moc plemienna, tam trwa owo „ludowe”, które artysta ma podnieść do „narodowego”. Tak kazał Norwid — i tak dziś powtarzają niektórzy, ci rozpróżnieni, ideologowie ludowości w sztuce. Działają bowiem także nieprzytomni mistycy wiejskości, krzewią się na uniwersytetach ludowych kult., „przeżywania”, zaleca się misteria irracjonalnego związku z ziemią, błakają się echa młodopolszczyzny w owych teatrach z głowy, w sztukach w rodzaju „Żywili”. Mętność nie wystarcza pielegnowanie ginącej pieśni obrzędowej, pragną odgrodzić się od kultury zwanej pogardliwie miejską.

Nie trzeba być historykiem i socjologiem, aby zrozumieć, że to, co było kiedyś dźwignią postępu, staje się z latami równią pochyłą staczającą w dół. Chopin i Mickiewicz, ci, którzy ludowe podnieśli do narodowego i ogólnoludowego, byli w sztuce wyrazieliści postępowych dążeń swojego czasu. Wprowadzenie motywów sztuki ludowej do dzieł sztuki artystycznej było czynnem o doniosłości społecznej, rewolucyjnej, miesciło chłopca i jego świat moralny w obręb kultury narodowej, ogólnej, kultury bez ograniczającego przydomka. Można by rzec, że wielcy romantycy obalali mur dzielący kulturę szlachecką od ludowej, Chopin i Mickiewicz uwłaszczali niejako chłopca polskiego w świadomości ogółu. Czynili to poprzez dzieła swoje wcześniej, niż prawne akty uwolnienia z poddaństwa i pańszczyzny.

Ale neoromantyczny nawrót do ludowości był już tylko — jak się zdaje — ucieczką dekadentów na wieś, czysto estetyczną wycieczką stylizatorów. Można by przypuścić, że Raymond i Rydel szukali w artystycznym chłopomastwie sielanki, ostoi i ratunku przed przemianami społecznymi, o które walczył rewolucyjny robotnik. Dzisiaj zarówno chęć zamknięcia wsi w jej opłotkach, jak i dążenie do „jakiejś odrębnej kultury ludowej — świadczą tylko o zaoferowaniu i ciemności. Rola zapładniająca prymitywu ludowego zmalała, źródła sztuki ludowej wysychają. Pieśń, zebrana i skatalogowana, milknie na wsi, staje się z biegiem czasu zabytkiem muzealnym. Rola jej w sztuce współczesnej jest inna, niż była w epoce romantyzmu. Prymityw może dziś służyć, tak jak służył zawsze, za zwierciadło, w którym przejrzeć się może styl współczesnego artysty. Może być miernikiem wskazującym jak daleko współczesna technika artystyczna odbiegła od początków sztuki. Niekiedy stać się też może krzywym zwierciadłem wyolbrzymiającym wady stylu poety, który się w tym zwierciadle przegląda. Współ-

cześni plastycy nawiązujący do sztuki ludowej (Stryjeńska, Szczepkowski) uzyskują liiche rezultaty artystyczne. Nie sądę, żeby to można wytłumaczyć tylko brakiem wielkiego talentu; przyczyną należy szukać w wymowie społecznej naszych czasów: w szybkim rozwoju techniki znoszącej różnicę także tzw. duchowe między miastem a wsią. U poetów, którzy usiłują czerpać z pieśni ludowej, młodopolskie stylizatorstwo wyrodnieje w odpustową obrazkowość. Jedynie muzycy współcześni, przede wszystkim Szymanowski, zawdzięczają wiele motywom ludowym. Zdaje mi się jednak, że nawet z tej niewielkiej odległości, jaka nas dzieli od czasu powstania „Harnasiów”, można już dostrzec zbyt programową postawę autora, że nie jest to pieśń przemienionych kołodziejów, że nie brzmi w niej, jak u Chopina, „polskość wzięta tęczą zachwyty”.

Jaki stąd wniosek? Nie popierać tych grup i organizacji, które dążą do zamknięcia wsi w opłotkach samorodności, które nie chcą dopuścić wpływów kultury tzw. miejskiej. To wniosek negatywny. A pozytywny? Chłopskość, najliczniejsza warstwa społeczna, jest rezerwuarem sił twórczych. Z ludu, oświeconego i obdarowanego ziemią, wyjdą wielkie talenty. Wierzę, że oblicze literatury i sztuki polskiej zmieni gruntownie dopiero pokolenie artystów, które wyjdzie z nowej wsi, wsi po reformie rolnej. Zadaniem Ministerstwa Kultury i Sztuki jest więc opieka nad tymi młodymi talentami ujawniającymi się na wsi, skierowywanie ich do szkół artystycznych, fundowanie dla utalentowanych dzieci chłopskich stypendiów. Nie warto natomiast popierać dorosłych i starych półartystów — samouków na wsi czy w mieście, jakichś Wowrów czy Jantków z Bugaja. Jeśli mogą być użyteczni w inny sposób, jako działacze społeczni czy oświatowi, niechże się nimi zajmuje Ministerstwo Oświaty i Ministerstwo Informacji i Propagandy.

„Naszym pragnieniem jest upowszechnić

EMMANUEL MOUNIER

Jak jest właściwie z tym egzystencjalizmem?

Opuszczaliśmy Paryż z tym samym przeświadczeniem, z jakim wybierają się w podróż po Polsce cudzoziemcy, że poza „żelazną kurtyną” (wyrażenie ukute na Zachodzie) czekają nas wręcz niepokojące rewelacje, których źródłem jest otchłań tajemniczej Azji. Cóż za miłe rozczarowanie! Nie zdążyliśmy jeszcze wysiąść z samolotu, a już złośliwość studentki i sędziwy profesor zapytują nas równocześnie, każde w innej tonacji: — „jak tam jest z tym egzystencjalizmem?” — „Niestety! Okazuje się, że nie ma tajemnic! Jakaś dziwna nie łączy Klub Intelktualistów z Café de Flore. Pytanie to postawiono nam z wdziękiem właściwym cudzoziemcom, z wdziękiem, który jest nagrodą tych, co śmiało puszczają się na wody obcego języka.

Rozmaitości bywa z tym egzystencjalizmem. Można o nim mówić i bardzo źle i bardzo dobrze. Jest to śmieszna moda aspirująca do poruszenia społeczeństwa, narkotyk podniecający dla leniwów i co się nie da zaprzeczyć, przebudzenie się filozofii. Całość nie pozbawiona mętności i nieszczerości. Należałoby jednak omówić pokrótce historię egzystencjalizmu tym bardziej, że często żongluje się tym terminem zupełnie niewłaściwie.

W 1943 roku, gdy okupacja niemiecka zaciążyła już nad całą Francją, młody filozof z uniwersytetu francuskiego, Jean Paul Sartre, wydał olbrzymie 800-stronicowe dzieło pod niezbyt atrakcyjnym tytułem „Byt i nicność” („L'Être et le Néant”). W chaosie trosk owych dni, książka przeszła przez nikogo nie zauważoną, gdyby nie specjaliści interesujący się tym sprawami, którzy, nawet w gorące akcje, znajdowali czas na lekturę. Sartre dał się poznać już przedtem. Napisał dwie lub trzy książki psychologiczne o wyobraźni i uczuciu, ale nie to należy szukać przyczyny tego uznania, jakie zdobył wśród szerokiej mas publiczności. Już tak było, że filozofom nie szczęściło się we Francji, w każdym razie o ile osiągnęli sukcesy, to nie prędko, a osiągnęli je tylko wtedy, gdy udało im się sprytnie przemycić filozofię w formie literackiej. To żywe zainteresowanie publiczności zawdzięcza Sartre zbiorowi nowel i niedużej powieści pt. „La Nausée”, która jak dotychczas jest bezsprzecznie najwyższym i najpełniejszym osiągnięciem pisarza. Niektórzy krytycy widzieli w niej powieściowy wyraz filozofii Heideggera. Rewelacja ta żywo poruszyła laików, ale ci nie poszli już dalej. Zresztą zupełnie słusznie, bo tego rodzaju rewelacja była niebezpieczna. Powieść jest tylko powieścią, a nie wersją tej czy innej filozofii. Pierwsze prace Sartre'a obejmują okres ostatnich lat pokoju i początek wojny. Ale o wpływie jego na umysłowość francuską można mówić znacznie później. Dopiero nazajutrz po odzyska-

niu wolności wybucha bomba z egzystencjalizmem. Istna powódź artykułów zalewa nagłe całą prasę francuską — wszystkie dzienniki i tygodniki. Rzadko, trzeba przyznać, widzieliśmy podobny potok bzdurstw. A tymczasem Sartre zwraca sobie Amerykę, wydając dwa pierwsze tomy swej powieści-rzeki (roman-fleuve) „Drogi wolności” („Chemins de la liberté”), zakłada nowy miesięcznik „Temps modernes”, który usiłuje wyprzeć „Nouvelle revue française”. Jeżeli wspomnę jeszcze, że Sartre próbował pisać dla teatru [dwie sztuki — „Zamknięte drzwi” („Huis Clos”) i „Muchy” („Les Mouches”), przedję chyba wszystkie pozycje jego twórczości, których, jak czytelnik może zauważyć, zebrała się wyjątkowo pokaźna lista. „Temps modernes” pozwoliły Sartre'owi skupić dokoła siebie grupę niewielu uczniów. Maurice Merleau-Ponty, młody filozof i Simona de Beauvoir, też młoda filozofka-powieściopisarka (w szkole jest dużo filozofii), to najciekawszy ludzie sarrowskiej szkoły. Simona de Beauvoir wydała „Pyrrhus et Cinéas”, co w rodzaju programu, w którym jasno precyzuje tezy grupy, i powieść „Cudza krew” („Le sang des autres”), o zagadnieniach poruszających sprawę Ruchu Oporu. Próbowała też swoich sił w teatrze. Sztuka jej „Kaligula” cieszyła się wielkim powodzeniem; podobał się sposób ujęcia i rozwiązania problemu oraz środki artystyczne, jakimi się posłużyła. Wymieniłem te dwa nazwiska i jestem, szczerze mówiąc, w nieładzie kłopoty, o kim by tu jeszcze powiedzieć. Ta mała grupa ludzi o blyskotliwej inteligencji działa raczej przez oddźwięk, niż promieniowanie i prawie niewidoczne ogniwa łączą ją z hałaśliwą, pretensjonalną i wulgarną modą, która wyłoniła się z mroków powojennego czasu. Trudno tu nawet mówić o jakimś ruchu. Sartre panuje wszechwładnie w nieokreślonym ścisłym królestwie Café de Flore, pośród swego dworu.

Fakty te wyznaczają, że się tak wyrażę, geograficznie miejsce w świecie intelektualnym zjawisku, które nazywa się egzystencjalizmem. Moda nie grzeszy pamięcią, a generacja powojenna — czyż można zresztą mieć to jej za złe? — słabo orientuje się w zagadnieniach kultury. Mało ludzi zdaje sobie z tego sprawę, że egzystencjalizm nie jest wynalazkiem Sartre'a, że jest on odwieczną formą filozofii, ściślej mówiąc, tej z XIX i XX wieku. Są dwa rodzaje myślicieli. Jedni gorliwie dążą do zdefiniowania rzeczywistości, starają się z niej wydzielić pewne stałe formy, istotę rzeczy i ustalić stosunek ich wzajemnego oddziaływania. To ich bynajmniej nie oddala od rzeczywistości, która ma swoją strukturę i nie jest bezkształtną masą. Tylko, że takie poszukiwania pozbawiają rzeczy ich wewnętrznej istotnej treści, nadbudowując nad rzeczywistością, a potem wstawiając w jej miejsce pewne systemy, które w końcu eliminują zupełnie problem przeznaczenia i tragizmu istnienia wszechświata. I wtedy

sze i trudniejsze. Moniuszko łatwiej i prędzej trafi do ucha chłopca niż Chopin, a Chopin wcześniej stanie się zrozumiały niż Szymanowski. Nie wolno jednak szerzyć Własta, by następnie zachęcić do słuchania Moniuszki; podobnie byłoby błędem wtykać nieczytającemu w rękę Mniszkównę, by potem czytał Orzeszkową. **Upowszechniać według stopnia dostępności, lecz upowszechniać tylko prawdziwe dzieła sztuki.**

Więcej przyczyni się do upowszechnienia kultury literackiej narodowe wydanie dzieł Mickiewicza, niż dziesiątki pism oświatowych, setki broszur, tysiące kólek literacko-artystycznych. Ważniejszym czynnem w dziedzinie kultury będzie wprowadzenie w życie ustawy bibliotecznej, niż założenie jeszcze jednego uniwersytetu. Nie można mówić o upowszechnieniu kultury, jeśli się nie spełni tego podstawowego jej warunku, jeśli się nie udostępni przez ustawę biblioteczną każdemu obywatelowi najpowszechniejszego nosiciela kultury: książki. Niechże dzieła naszych klasyków nie błądzą, lecz sprawnie rozprowadzone przez sieć bibliotek trafiają nie pod strzechy, lecz pod dachówki nowej wsi polskiej.

Ważniejszą sprawą dla upowszechnienia kultury teatralnej jest stworzenie państwowego teatru objazdowego, stojącego na wysokim poziomie, niż powołanie Rady Teatralnej. Takie teatry objazdowe, które by dotarły z Szekspirem i Moliere, z Mickiewiczem i Fredrą do każdej Wólki i do każdego. Niebylica, więcej by nauczyły, niż setki kształconych na kursach instruktorów. Podniesienie poziomu audycji muzycznych w radio i rozprowadzenie radia na wsi, zorganizowanie stałej wystawy najlepszych naszych malarzy, która by objeżdżając kraj trafiała do najdalszych zakątków i uczyła patrzeć — oto upowszechnianie. A zamiast tysiąca artykułów i mów na temat upowszechnienia — jeden tom prawdziwej poezji w każdej chacie.

Julian Przybós

przełożyła MARIA STULGIŃSKA

zjawiają się filozofowie, którzy powiadają: istnieje to coś więcej niż definiować i próbują, jak mówi Kant, otrząsnąć swych współczesnych ze snu dogmatycznego i obudzić w nich zrozumienie dla tragizmu istnienia człowieka i wszechświata, tragizmu którego żadna filozoficzna formułka nie zdoła wyczerpać, ani umniejszyć. Takim był Sokrates powstający przeciw sofistom, St. Bernard przeciw Abélardowi, Pascal przeciw kartezjanom, Kant przeciw ideologom, Kierkegaard przeciw Heglowi, Bergson, Scheler czy Heidegger przeciw scjentystom. I taki jest właśnie ruch filozoficzny, który można nazwać ogólnie egzystencjalizmem. Nie jest on jednak ciągłym przedłużeniem tradycji. Wybucho raczej spontanicznie, jak odradzająca się z wiosną do życia przyroda i zawsze wtedy, gdy jakiś ruch filozoficzny zamiera w gmatwaniu swych własnych założeń.

Mówiąc o egzystencjalizmie, filozofowie mają na ogół na myśli niedawne, w czasach najnowszych, ożywienie się tego ruchu, który zaczyna się około 1890 r. od Kierkegaarda. Według Hegla, istnienie to rozwijanie się bezosobowej myśli utożsamionej z Myślą wszechświata. Filozofii heglowskiej przeciwstawia Kierkegaard protest subiektywizmu chrześcijańskiego. Używam tu świadomie niejasnego określenia, ponieważ protest Kierkegaarda nie był pozbawiony dwoistości. Był to protest romantyka i chrześcijanina razem. Jego Osobowość, postawiona twarzą w twarz wobec Boga, w przerażającym osamotnieniu, nie wyrażała w pełni posłannictwa chrześcijańskiego, a przynajmniej posłannictwa w równej mierze zbiorowego co i personalistycznego. Postąpiłby niewłaściwie ten, kto zraziwszy się słabą stroną epoki zatrzymałby się w połowie, zamykając sobie drogę do dalszego poznania i zrozumienia Kierkegaarda. Bo Kierkegaard stwierdza znacznie więcej: godność ludzka zasadza się na wolnym wyborze. Istniejemy dzięki temu wyborowi, który jest subiektywnym stwierdzeniem świata i który, przez czyn usprawiedliwiający nasze istnienie w świecie, daje nam możliwość włączenia się w wir życia.

Pod wpływem filozofii Kierkegaarda powstają dwa wielkie odgałęzienia egzystencjalizmu: egzystencjalizm chrześcijański, reprezentowany przez Schelera, a za naszych czasów przez Bierdiajewa, Gabriela Marcel i Blondela, i egzystencjalizm ateistyczny, którego definicję podaje Heidegger, a który reprezentuje Sartre. Pierwszy opiera godność istnienia na uczestniczeniu człowieka w pełni tworzenia, w boskiej historii ludzkości. Drugi uważa istnienie za irracjonalny, szalony, bohaterski protest w tym niedorzecznym świecie, który ani do niczego nie prowadzi, ani do niczego nie zachęca.

Sprowadzając egzystencjalizm do sartryzmu, słownik mody popełnia jaskrawą niesprawiedliwość wobec tradycji tej filozofii, w której długim i zmiennym łańcuchu Sartre jest tylko jednym z końcowych ogniw. Zre-

* E. Mounier, jeden z przywódców odrodzonego katolicyzmu francuskiego, redaktor „Esprit”, napisał ten artykuł specjalnie dla „Odrodzenia”.

szta wiele z tez uznawanych od czasów Sartre'a za „egzystencjalne“ zajmuje w tej rozległej tradycji co najmniej drugorzędne miejsce.

Jakie są tezy właściwego sartryzmu, które stanowią podstawę obecnych pojęć o egzystencjalizmie. Wiele z nich pozostaje pod wpływem filozofii Heideggera, przeciwstawiając się jej równocześnie w niektórych punktach. Obalwszy tradycję francuskich uniwersytetów, które od stu lat jak ognia unikały ontologicznych chwytów, Sartre wychodzi właśnie od ontologii, która staje się kośćcem jego rozumowania. Są — powiada Sartre — dwie formy bytu. **Być w sobie** (l'être en soi) jest bytem ciężkim, surowym, ślepy, pełniącym się w sobie, tępym. Istnieje, bo istnieje, talk po prostu bez ładu i składu, zupełnie niepostrzebnie. Byt, w rzeczy samej, nie ma wewnętrznej znaczenia, jest niedorzeczny. Ta właśnie wewnętrzna niedorzeczność istnienia, to uczucie niesmaku, jakie wywołuje w nas stwierdzenie bezmyślnego istnienia przedmiotów, które będą istniały nadal zupełnie niepostrzebnie, uderza nas niekiedy w „La Nausée“ Sartre'a. Jednak w tę bezsensowność, w ten bezwład wszechświata istota ludzka wprowadza pozytywny, twórczy pierwiastek — czyn. Człowiek w bezkształtnej bryle istnienia nacina szczelinę nicości. Nie jest po prostu, tak jak rzeczy, tym czym jest. Wyślizguje się z przeszłości, która już nie istnieje, wciąż jeszcze istniejąc, do przyszłości, której jeszcze nie ma, chociaż już istnieje. Jest bytem, który nie jest tym czym jest i który jest tym czym nie jest. Taka jest istota **bytu dla siebie** (l'être pour soi). Tego rodzaju konstytucja stawia człowieka stale w niejasnej sytuacji. Zachowuje się on jak ktoś, kto zawieszony między teraźniejszością a przyszłością lawiruje między tym czym jest, a tym czym się stanie. Taka sytuacja rzuca człowieka w przyszłość.

Jaka będzie ta przyszłość? Według egzystencjalistów zakreślają ją ciasne ramy, narzucone przez naturę człowieka. Sartre pojęcie natury ludzkiej uważa za hańbiący przeżytek teizmu. Człowiek jest tylko projektem, rzutem samego siebie, czystym ruchem w nieznanym piękno. Nikt nie może mi powiedzieć, czym będę jutro, nikt nie może przewidzieć, czym jutro stanie się ludzkość. Determinizm jest tylko jednym ze sposobów ujmowania w system tego co minęło, nigdy tego co przyjdzie, jest bezsilny wobec przyszłości. Tylko istnienie może kierować istnieniem. Ja będę, ludzkość będzie tym, co postanowi nasz wolny czyn. Pojęcie wolności — ale wolności ograniczonej, jest zupełnym nonsensem. Oczywiście — mówi Sartre (i tu stara się nawiązać do marksistów) — jesteśmy ze wszystkich stron od czegoś uzależnieni, ale stwierdzenie tej zależności nie czyni z nas niewolników, zależność ta staje się przymusem czy

przeszkodą dopiero wtedy, gdy my sami chcemy uważać ją za taką. Skała nie jest przeszkodą dla podróżnika, który nie chcąc się zmęczyć, omija ją i wybiera wygodną ścieżkę. Ale staje się przeszkodą dla alpinisty, który postanowił ją pokonać. Proletariat nie uważał siebie za pokrzywdzonego, ani swego losu za uciążliwy, dopóki nie znaleźli się ludzie, którzy uświadomili go i otworzyli mu oczy na jarzmo, które dotąd dźwigał bez szemrania. Egzystencjalizm Sartre'a jest afirmacją pełnej, niczym nieograniczonej wolności — przeznaczeniem człowieka jest stać się Bogiem. Przysnaje jednak, mimo wzniesłego celu, jaki człowiekowi wyznacza, że istota ludzka potyka się na swej drodze do mety i że historia całego naszego życia, to historia upadków i klęsk. Tylko twórczy, pełen wysiłku czyn, zawieszony między przeszłością, która zniknęła nie przychodzi, a przyszłością, która niczego nie obiecuje, nadaje sens ludzkiemu istnieniu. Krytyka zarzucała Sartre'owi, że jego filozofia rozpaczy zrodzić tylko destrukcyjny pesymizm zabijający wszelką energię. W odczycie „Czy egzystencjalizm jest humanizmem?“ (który zresztą opublikował) Sartre broni się żarliwie przed tymi zarzutami. Nie zaprzecza, że u podstaw jego filozofii jest coś z rozpacz, a raczej metafizycznej niewiary. Chętnie przyjąłby za dewizę swego życia zasadę milczenia — przyjmując ją, na nic człowiek nie liczy. Ten aktywny pesymizm właściwy jest wszystkim epokom przeżywającym kryzys. Jest to pewien przejaw reakcji energii, taka też była reakcja stoicyzmu. W naszych czasach oddźwięk jej znajdujemy w dziełach Malraux czy Hemingwaya. Na nic zdałoby się gadanie, że aktywizm ten jest nieuzasadniony: istnieje bowiem i zasila życie.

Przykładem pesymizmu tej filozofii jest twierdzenie, że człowiek skazany jest na wieczne osamotnienie. W egzystencjalizmie chrześcijańskim — weźmy jako przykład Pascala — jest to samotność wobec Boga, która nie jest jednak nieodwołalna. Natomiast Sartre i Heidegger uważają, że dla człowieka nie ma ratunku, musi wlec za sobą to beznadziejne osamotnienie, nie znajdując nigdy kogoś drugiego, z kim mógłby się porozumieć. Najbardziej interesującym fragmentem „Bytu i nicości“ jest ta część książki, w której autor próbuje wyjść na sp tkanie drugiemu człowiekowi, ale próba nawiązania kontaktu kończy się niepowodzeniem. Drugi człowiek jest mi dany tak, jak i ja, w tym samym czasie co ja, w trybie bytu specjalnego, **bytu dla drugiego** (le pour autrui), który jest niczym innym, jak bytem uchwyconym przez spojrzenie drugiego człowieka. Sartre daje ciekawą analizę wzajemnego stosunku dwu osobowości, uczucia wstępu istnienia i ośmielenia: Wchodząc w orbitę mego istnienia drugi człowiek kaleczy je, robi w nim

szczelinę, przez którą uchodzi **istnienie mego** posiadania świata. Jestem w teatrze na sztuce, która mi daje wzruszenia artystyczne — nagle zjawia się obok mnie jakiś głupiec, który niewłaściwie na nią reaguje, śmiejąc się i oklaskując aktorów w zupełnie nieodpowiednim miejscu. Człowiek ten zabiera mi **moją** sztukę i zmusza do przyjęcia swojej. Spojrzenie drugiego człowieka zatrzymuje się na mnie po to tylko, żeby mnie wziąć w niewolę, ograniczyć, związać. Chciałbym, nie tracąc własnej wolności i nie umniejszając jego wolności, oświadczyć drugim człowiekiem. Ale to jest niemożliwe — w momencie gdy nim oświadczałem, patrzę na niego i pod spojrzeniem moich oczu, przestaje być wolny. Aby utrzymać swą niezależność, pozostaje mi tylko prawo odwetu — weźmy jako przykład miłość, która też nie jest niczym innym jak niewolą — schwyciliśmy drugiego człowieka w sieć miłości, ale sami musimy się z niej wy dostać. Nie ma rzeczywistego bytu **my**, nie ma prawdziwego ludzkiego porozumienia między ludźmi.

Może zbyt pobieżnie przedstawiłem historię i rozwój ruchu, bogatego w treść zwłaszcza psychologiczną, który mimo wielu zapożyczeń z filozofii niemieckiej, nosi na sobie typowe znamie umysłowości francuskiej. Należałoby naświetlić jeszcze inne jego aspekty. Krytyka marksistowska od samego początku ostro atakowała sartryzm. Uważając go za zjawisko socjologiczne widziała w nim odbicie chaosu panującego wśród rozkładającej się burżuazji, która utożsamia niedorzeczność własnego życia z niedorzecznością istnienia w ogóle. Taka interpretacja jest niewątpliwie opinią o modzie literackiej związanej z egzystencjalizmem, która, jako zjawisko stale towarzyszące sartryzmowi, zapowiada jego schyłek. Nie można jednak zapominać, że egzystencjalizm powstał w okresie ekspansji i największego rozkwitu kapitalizmu. To wyjaśnienie odnosi się więc może do wielu przejawów w świecie z 1946 roku, nie może jednak dotyczyć wielu jego zasadniczych zagadnień. Jednym z najważniejszych jest afirmacja wolności i siły w niej tkwiącej, w obliczu fatalizmu świata. Nie ulega wątpliwości, że gdy człowiek uświadomił sobie potęgę własnych czynów, wezwanie do wolności musiało znaleźć żywy oddźwięk. To dążenie do powiązania podstawowych odkryć marksizmu z wymaganiami ludzkości zbliża sartryzm do personalizmu grupy „Esprit“. Natomiast tak personalizm jak i marksizm odnoszą się, by nie rzec więcej, z rezerwą do prowokującego irracjonalizmu Sartre'a, gdy głosi nieograniczoną wolność. Jeżeli nie można określić natury ludzkiej, jeżeli człowiek nie ma w ogóle struktury, kto wyznaczy granice między tym co jest ludzkie, a tym co ludzkie nie jest? Jakkolwiek sartrowski aktywizm pozbawiony jest zupełnie pierwiastka romantycznego, jest



rys Edward Głowacki

EMMANUEL MOUNIER

w nim jednak słabe miejsce, przez które mógłby się wcisnąć praktyczny nietszcheanizm; poznaliśmy go zbyt dobrze w ostatnich latach. Twierdzenie o naszym osamotnieniu nie pozwala filozofowi odnaleźć rzeczywistości, ani drugiego człowieka, twierdzenie o nieograniczonej wolności nie da się pogodzić z naszą konkretną rzeczywistością i z naszymi warunkami.

Ala krytykując sartryzm musimy pamiętać o jednym: kluczem do rozwiązania tej zagadki jest ontologia, której nie mogą tu poddawać krytyce. Jeżeli jednak chodzi o mnie, to właśnie jej adresem skierowałbym moje najistotniejsze zarzuty. Sartryzm przejął i wyraża wszystkie objawy choroby wieku, która jak cień snuje się za wojną. Podobnie jak personalizm, sartryzm rozumiał tę potrzebę, jaką odczuwa większość młodych Francuzów: powiązania afirmacji wolności z afirmacją czynu. Ale popełnił jeden zasadniczy błąd — przyjął zasadę metafizycznej niedorzeczności świata, która nie może odpowiadać ani prawdziwie ani wymaganiom obecnego świata, przed którym stoi trudne zadanie, nieludzki wysiłek odbudowy od podstaw.

Emmanuel Mounier
przełożyła Maria Stulgińska

WACŁAW ZAWADZKI

Od Monachium do drugiej wojny światowej

Dlaczego doszło do paktu niemiecko-sowieckiego w 1939 r.

W pierwszym artykule, ogłoszonym w poprzednim numerze „Odrodzenia“, przedstawiliśmy przebieg akcji dyplomatycznej państw europejskich w okresie od układów monachijskich do końca kwietnia 1939 r.

Obecnie ogłaszamy materiały i dokumenty dyplomatyczne odnoszące się do okresu od maja 1939 r. do wybuchu wojny.

Zawarcie jakiegokolwiek układu politycznego z Moskwą, wygrywanie go jako karty przeciw Anglii i Francji było dla Hitlera bardzo niedogodne, jako sprzeczne z kantonami „narodowo-socjalistycznymi“. Takie posunięcie uważał Hitler za ostateczność, gdy już inne sposoby zawiodą. Tym tłumaczyć można jego chwiejność wobec Rosji, zawrócenie np. z drogi delegacji handlowej z p. Schnurre. Możliwość porozumienia z ZSRR traktował Berlin na razie jako demonstrację, jako dogroźkę, do której wolałby się nie odwoływać.

Stalin i rząd sowiecki doskonale zdawali sobie sprawę, że stosunki między Wielką Brytanią a Niemcami są napięte, że byt Anglii jest zagrożony i że Anglia nie może ustąpić przed Niemcami. Oceniali też doskonale, że w grze tej wiele znaczy ich stanowisko.

Po doświadczeniach monachijskich rząd radziecki odniósł się do ofert angielsko-francuskich z dużą dozą niedowierzania, żądając konkretnych propozycji i wyraźnej sprecyzowanych gwarancji. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że Chamberlain i jego grupa zostali nadal przy władzy. Po Monachium, rząd sowiecki wiedząc doskonale co należy myśleć o politykach angielskich i francuskich, prowadził taką grę, która by uniemożliwiła Anglii zepchnięcie całego ciężaru wojny na ZSRR, a jej samej — stanie na uboczu. Inaczej niż Chamberlain, który w Monachium nie wiedział co Hitler dalej zrobi, Moskwa orientowała się dobrze, że Anglia musi teraz poważniej niż dotychczas potraktować posunięcia Hitlera i jeżeli Hitler będzie nieustępliwy, musi wziąć na siebie ciężar walki.

Przemawiając dnia 10 marca 1939 r. na XVIII Zjeździe Partii Komunistycznej, Stalin

w następujący sposób zdefiniował wytyczne polityki sowieckiej:

„1. Jesteśmy zwolennikami pokoju i wzmocnienia rzeczowych stosunków ze wszystkimi krajami, stoimy i będziemy stali na tym stanowisku, o ile kraje te będą przestrzegały takich samych stosunków ze Związkiem Radzieckim, o ile nie będą usiłowały naruszyć bezpośrednio lub pośrednio interesów, całości i nietykalności granic Państwa Radzieckiego.

2. Jesteśmy zwolennikami pokojowych, bliskich i dobrych stosunków sąsiedzkich ze wszystkimi krajami ościennymi, posiadającymi wspólną granicę z ZSRR, stoimy i będziemy stali na tym stanowisku, o ile kraje te będą przestrzegały takich samych stosunków ze Związkiem Radzieckim, o ile nie będą usiłowały naruszyć bezpośrednio lub pośrednio interesów całości i nietykalności granic Państwa Radzieckiego.

3. Stoimy na stanowisku popierania narodów, które padły ofiarą napaści i walczą o niepodległość swej ojczyzny.

4. Nie boimy się gróźb ze strony napastników i gotowi jesteśmy odpowiedzieć podwójnym ciosem na każdy cios podżegaczy wojennych usiłujących pogwałcić nietykalność granic radzieckich“.

Na podstawie tych wytycznych Stalin stawia następujące zadania polityce zagranicznej ZSRR:

„1. Stosować nadal politykę pokoju i wzmocnienia rzeczowych stosunków ze wszystkimi krajami.

2. Zachowywać ostrożność i nie pozwolić, aby prowokatorzy wojenni, przywykli do wyciągania cudzymi rękami kasztanów z ognia, wplątali kraj nasz w konflikty“ (J. Stalin, „Zagadnienia leninizmu“, Moskwa 1941, str. 567—8; podkreślenia moje).

Słowa Stalina były zapowiedzią, że Rosja nie pójdzie z Anglią i Francją przeciw Niemcom w każdej okoliczności i pod każdym warunkiem.

Neutralność ZSRR w razie konfliktu europejskiego z Niemcami, którą dopuszczało o-

świadczenie Stalina, byłaby nawet w pierwszym okresie wojny groźna i niebezpieczna dla Anglii i Francji. Dla Polski natomiast tego rodzaju sytuacja byłaby zabójcza, gdyż każdy plan strategiczno-obronny w wojnie z Niemcami wymagał ścisłego współdziałania i sojuszu wojskowego z Rosją Sowiecką. Polityka Becka i Śmigłego — polityka przeciwdziałania takiemu sojuszowi — była w tym okresie jedyną bodaj podporą żywołów monachijskich w rządzie angielskim i jednym z najważniejszych czynników, które Rosję Sowiecką pchały w kierunku neutralności w razie zatargu państw europejskich z Rzeszą.

Po wybuchu wojny w 1939 r. Chamberlain oświadczył, że wszystko to, co budował „rozpadło się w gruzy“. Prawdę mówiąc, monachijska polityka Chamberlaina była kupą gruzów już znacznie wcześniej. Jego późniejsza działalność była już tylko niezręczną próbą ratowania straconej sytuacji i „wyciągania kasztanów z ognia cudzymi rękami“.

Żywy interes Polski wymagał, żeby Monachium się nie powtórzyło, żeby powstał blok wszystkich państw antyhitlerowskich, żeby wobec niebezpieczeństwa wojny z Niemcami Polska weszła w ścisłe porozumienie z Rosją Sowiecką, co ułatwiłoby jej obronę i zabezpieczyło tyły. Beck i Śmigły, w tym najniebezpieczniejszym dla Polski okresie, bezpośrednio przed drugą wojną światową, z jakąś zupełnie niezrozumiałą krótkowzrocznością i uporem trzymali się swych błędnych założeń i wszelkimi siłami, wbrew zdrowemu rozsądkowi i interesowi kraju, pomagali Chamberlainowi w restaurowaniu i podpieraniu ruin polityki monachijskiej, odrzucając Rosję Sowiecką i wyłączając ją z systemu, na którym mogłoby się oprzeć bezpieczeństwo Europy.

Na początku maja 1939 r. komisarz Litwinow ustąpił ze swego stanowiska. Komisarzem ludowym spraw zagranicznych został Mołotow.

Zmiana kierownictwa w komisaracie spraw zagranicznych była oznaką, że wskutek prze-

wlekających się rokowań stosunki rosyjsko-angielsko-francuskie ochłodziły się.

Rozbieżności w rokowaniach precyzuje artykuł A. Zdanowa, który ukazał się w „Prawdzie“ dnia 28 czerwca 1939 r. Zarzuca on państwu zachodnim świadome przewlekanie rokowań.

„1. Pertraktacje angielsko-radzieckie trwają już 75 dni, z czego 59 dni stracono na zwłokę Anglików i Francuzów.

2. Ta sama Anglia, gdy jej to było potrzebne, zawarła pakt o wzajemnej pomocy z Turcją i Polską w bardzo krótkim czasie.

3. Podczas pertraktacji Anglii i Francuzi robią najrozmaitsze sztuczne trudności, co ma wywołać wrażenie poważnej rozbieżności zdań między Anglią i Francją z jednej a ZSRR z drugiej strony; powoływano się dyplomacją angielsko-francuską na to, że państwa bałtyckie nie życzą sobie rzekomo gwarancji, jest wyraźnie nieuzasadnione; dyktuje je chęć utrudnienia zerwania pertraktacji. Nie wiadomo, czy zapytywano Litwę i Holandię, czy życzą sobie gwarancji Anglii i Polski; państwa te nie prosiły o gwarancje, jednakże nie przeszkodziło to Wielkiej Brytanii i Polsce zawrzeć pakt o obustronnej wzajemnej pomocy, do których włączono także gwarancje dla tych państw.

Wszystko to świadczy o tym — powiada w konkluzji Zdanow — że Anglii i Francuzi nie chcą takiej umowy z ZSRR, która opierałaby się na zasadzie równości i wzajemności..., lecz takiej, która wyznaczałaby ZSRR rolę parobka dźwigającego na swych barkach cały ciężar obowiązków. Ale żaden szanujący się kraj nie pójdzie na taką umowę, jeśli nie chce być igraszką w rękach ludzi, którzy lubią wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami. Tym bardziej nie może pójść na taką umowę ZSRR, którego siła, potęga i poczucie godności znane są całemu światu“.

Artykuł Zdanowa dowodził, że Rosja nie chciała wlec się w ogonie polityki angielskiej. Wielka Brytania dobrze się orientowała, jakie ciężary spadają na jej barki.

W oświadczeniu, jakie p. Norton złożył ustnie polskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych w dniu 27. V. 1939 r., rząd brytyjski zalecał Polsce wielką ostrożność w postępowaniu. Oświadczenie to wydrukowano w „Polskiej Białej Księdze“.

„Byłoby wskazane — czytamy w nim — aby Polska mogła naradzić się ze swymi sprzymierzeńcami przed powzięciem nieodwołalnej decyzji w wątpliwych wypadkach“ („P. B. K.“, podkreślenie moje).

Jak widzimy, Anglia chciała mocno trzymać w swych dłoniach wszystkie nici. Ostrzegając Polskę, by samodzielnie nie podejmowała żadnej poważniejszej decyzji.

Zapowiedziany podczas wizyty min. Becka w Londynie sojusz polsko-brytyjski doszedł do skutku.

W układzie tym Wielka Brytania i Polska zobowiązują się do wzajemnej pomocy na wypadek, gdy „jedna ze stron zostanie wciągnięta w konflikt zbrojny z którymś z mocarstw europejskich“, jak i na wypadek, „w którym jakakolwiek akcja jednego z mocarstw zagrażałaby bezpośrednio lub pośrednio niepodległości jednej ze stron i byłaby tego rodzaju, że dana strona uważałaby zbrojny opór za konieczny“.

W dodatkowym układzie, którego do wiadomości publicznej nie podano, Wielka Brytania określa, co rozumie przez termin „mocarstwo europejskie“, wymieniony w tekście brytyjsko-polskiego sojuszu — mowa jest o Rzeszy Niemieckiej.

Wobec wyraźnej i stanowczej polityki Wielkiej Brytanii Hitler zdecydował się na rzućnięcie ostatniej karty, która mu pozostała w ręku.

Dnia 23 sierpnia 1939 r. min. Ribbentrop przyjeżdża do Moskwy i podpisuje tam niemiecko-sowiecki pakt o wzajemnej neutralności.

Ze względu na zainteresowanie, jakie może budzić u czytelników treść tego paktu, podamy jego tekst w całości:

„1. Obie Układające się Strony zobowiązują się unikać wzajemnie wszelkich aktów gwałtu, wszelkiej działalności agresywnej i wszelkiej agresji i to zarówno same, jak i wspólnie z innymi mocarstwami.

2. W razie, gdyby jedna ze Stron Układających się stała się przedmiotem działania wojennego ze strony innego mocarstwa, druga Strona nie będzie w żadnej formie pomagać temu trzeciemu mocarstwu.

3. Rządy obu Stron Układających się pozostaną w przyszłości w stałym kontakcie w drodze obrad, w celu wzajemnego informowania się co do kwestyj dotyczących wspólnych interesów.

4. Żadną ze Stron Układających się nie przystąpi do ugrupowania mocarstw skierowanego bezpośrednio lub pośrednio przeciwko drugiej stronie.

5. W wypadku powstania sporów lub konfliktów pomiędzy dwiema Stronami odnośnie jakichkolwiek spraw, bez względu na ich istotę lub pochodzenie, obie Strony Układające się zlikwidują te spory lub konflikty wyłącznie środkami pokojowymi, a mianowicie przez przyjacielską wymianę poglądów lub, w razie potrzeby, przez komisje polubowne.

6. Niniejszy traktat zostaje zawarty na okres lat 10“.

Zawierając pakt z bolszewikami Hitler odstąpił od zasady wielokrotnie przez siebie formułowanej i wypowiadanej. Krok ten wywołał zdumienie i dezorientację w szeregach szarej hitlerowskiej masy partyjnej.

Dla bolszewików hitlerizm czy faszizm jest jedną z form panowania burżuazji nad klasą robotniczą. Jeżeli jednak interes państwa sowieckiego tego wymaga, bolszewicy zawierają z takim państwem umowy. Umowę z Włochami faszystowskimi zawarto jeszcze za życia Lenina. Stosunki z faszystowskimi Włochami były przez długie lata poprawne, a nawet przyjazne, z demokratycznymi zaś państwami, Anglią i Francją, wrogie i nieprzyjazne.

Przemawiając na XVII Zjeździe Partii Komunistycznej w styczniu 1934 r. na temat polityki zagranicznej ZSRR Stalin powiedział: „Niektórzy politycy niemieccy mówią, że ZSRR orientuje się na Francję i Polskę, że z przeciwnika traktatu wersalskiego stał się jego zwolennikiem, że zmiana ta tłumaczy się ustanowieniem systemu faszystowskiego w Niemczech. Jest to niesłuszne. Oczywiście dalecy jesteśmy od tego, aby zachwycać się ustrojem faszystowskim w Niemczech. Ale chodzi tu nie o faszizm, chociażby dlatego, że faszizm na przykład we Włoszech nie przeszkadzał ZSRR do ustalenia jak najlepszego stosunku z tym krajem.

Chodzi również nie o rzekome zmiany w naszym ustosunkowaniu do traktatu wersalskiego. To samo należy powiedzieć o rzekomej zmianie orientacji ZSRR. Nie mieliśmy orientacji na Niemcy, tak samo, jak nie mamy orientacji na Polskę i Francję. Orientowaliśmy się w przeszłości i orientujemy się obecnie na ZSRR i tylko na ZSRR. I jeżeli interesy ZSRR wymagają zbliżenia z tymi czy innymi krajami, w których interesie nie leży łamanie pokoju, decydujemy się na to bez wahań“.

Hitler zaś o stosunku politycznym III Rzeszy do Rosji Radzieckiej i o możliwości zawierania z nią umów pisze:

„Nie zawiera się traktatu z indywidualami, dla których żaden traktat nie będzie święty, gdyż na tym świecie nie są oni przedstawicielami honoru i prawdy, ale reprezentantami

klamstwa, oszustwa, kradzieży, plądrowania i rabowania. Jeżeli ktokolwiek wierzy, że można wejść w związek umowny z pasażerem, będzie to podobne do próby powiązania się drzewa dla własnej korzyści z jemiolą“ (Hitler, „Mein Kampf“, str. 750).

„Nie należy zapominać, że władcy dzisiejszej Rosji są podłymi zbrodniarzami zbroczonymi krwią, że są to szumowiny ludzkości, które dzięki zbiegowi okoliczności w tragicznej godzinie zdobyły władzę nad wielkim państwem... Nie zawiera się traktatu z partnerem, którego jedynym zamiarem jest zniszczenie kontrahenta“ (Hitler, „Mein Kampf“, str. 750).

Jeżeli Hitler postanowił odstąpić od swej najświętszej zasady, wielokrotnie formułowanej i powtarzanej, to miał na względzie zastraszanie Anglii i zmuszenie jej do przyjęcia postawionych przez siebie żądań. W późniejszej swojej mowie Hitler nazywa ten krok „największym upokorzeniem“.

„Zdecydowałem się w roku 1939 na coś — oświadcza Hitler w swej mowie w Berlinie 3. X. 1941 r. — co przede wszystkim wy, moi starszy towarzysze partyjni, ocenicie jako najcięższe z ludzkich upokorzeń, jakie zniosłem. Posłałem wówczas swego ministra do Moskwy. Musiałem się wtedy zdobyć na nadludzki wysiłek, aby działać wbrew uczuciu“ (A. Hitler, „Reden“, tom 3, str. 75).

Czym w takim razie było porozumienie sowiecko-niemieckie z sierpnia 1939 r. dla jednej i drugiej strony?

Partnerzy, zawierający to porozumienie dobrze orientowali się w zamiarach kontrahenta i nie łudzili się co do jego intencji.

Gdyby Hitler wygrał wojnę z Anglią, Francją i Polską, byłoby to także klęską Rosji. Rosja stanęłaby sama oko w oko z potężnym przeciwnikiem, który by usiłował wtedy zrealizować swoje wrogie wobec niej zamiary.

Nawet nie biorąc pod uwagę momentów ideologicznych, samo położenie geograficzne Niemiec, ich potencjał gospodarczy i militarny oraz liczba ludności sprawiają, że mogą one być jedynym krajem, który może zaatakować ZSRR.

Ale nawet „pokojuowe zwycięstwo“ Hitlera, w rodzaju układu monachijskiego w roku 1938, nie byłoby na rękę Rosji Sowieckiej, gdyż wzmocniłoby Niemcy hitlerowskie, co dałoby im hegemonię polityczną w Europie i możność organizowania koalicji antysowieckiej pod ich przewodnictwem, ułatwiłoby wprowadzenie w czyn hitlerowskiego planu pochodu mocarstw na Związek Radziecki. Monachium w 1938 r. nie zapewniało jeszcze takiego pochodu.

Kierownicy polityki rosyjskiej wiedzili jednak dobrze, że tym razem Hitlerowi gra się nie uda, że Anglia zbyt poważnie jest zainteresowana, aby mogła ustąpić bez walki, jedynie pod groźbą wojny.

Zasady polityki ZSRR powinny być jasne dla każdego, kto mniej więcej zdawał sobie sprawę z sytuacji politycznej w Europie w tym okresie. Rzecz jasna, że tak też musiała widzieć te rzeczy dyplomacja angielska i francuska.

Doskonale się tam orientowano, że Rosja Sowiecka to nie sprzymierzeniec Niemiec, ale wróg, który się przyczaił, aby zebrać siły i uderzyć w odpowiednim momencie na zmęczoną wojną bestię hitlerowską.

Z gry tej mogły wynikać dla Rosji Sowieckiej tylko dwie możliwości: albo Niemcy przełkną się groźby angielskiej i ustąpią, albo zaplącają się w wojnę z Polską i z państwami zachodnimi, w wojnę, której cały ciężar w pierwszym najtrudniejszym okresie spadnie na Francję i Anglię.

Pierwsza ewentualność dowodziłaby, że Niemcy liczą się z potęgą Anglii i Francji, co podniosłoby autorytet i znaczenie państw antyhitlerowskich, cementowałoby ostatecznie blok tych państw przeciwko Niemcom i co byłoby też w interesie sowieckim. Drugą możliwością już znamy — byłoby to „Monachium à rebours“ — „Monachium na opak“.

Dla Wielkiej Brytanii, która dostatecznie trzeźwo i właściwie oceniała pakt niemiecko-sowiecki, sytuacja się nieco skomplikowała. Wojna, której Anglia chciała uniknąć, stawała się dla niej i dla Francji tym trudniejszą, że Rosja zajęła stanowisko neutralne. Wiedziała ona, że nawet w razie zwycięstwa wojna ta jej się nie opłaci.

I mimo iż Hitler miał w swym ręku atut neutralności Rosji, to dla każdego rozumnego polityka było jasne, że wojna Niemiec z Wielką Brytanią i Francją musi się zmienić w wojnę Rzeszy z Anglią, Francją, Rosją i Stanami Zjednoczonymi, co pociągnie za sobą niewątpliwą klęskę Niemiec.

Zdawał sobie z tego sprawę również Hitler. Wiedział, że wojna z Anglią, to nieszczęście dla Niemiec, nie przewidywał jednak, że sytuacja będzie dla niego aż tak groźna.

Anglia zrezygnowała tym razem z niedomówień i niejasności, które pozwoliłyby Niemcom interpretować tekst traktatu przy mierza polsko-angielskiego na ich korzyść.

W całej nowoczesnej historii Wielka Brytania nigdy nie podpisała zobowiązania mającego taki szeroki zakres jak sojusz polsko-angielski z roku 1939.

pozawało Niemcom w roku 1914 ludzię się, że Anglia pozostanie neutralna.

W okresie poprzedzającym wojnę 1914 r. i po pokoju wersalskim, Anglia nie chciała wiązać się wyraźnymi sojuszami wojskowymi z państwami kontynentu europejskiego, nie chciała bowiem, aby rozgrywki państw europejskim wciągnęły ją wbrew woli do wojny.

W roku 1939, Anglia, aby uniknąć wojny z Niemcami, podpisuje sojusz wojskowy dokładnie sprzecywany i o bardzo szerokim zakresie. Wygląda to na paradoks, że przed rokiem 1914 Wielka Brytania broni się przed wciągnięciem do wojny płynnością i niedokładnością swych zobowiązań, a w roku 1939 ich jasnością i dokładnością.

Było to ostrzeżenie w stronę Berlina, ostrzeżenie wyraźne i niedwuznaczne. Ale Hitler nie rozumiał tego, co się wokół niego działo.

Wiedział, że wskutek neutralności Rosji położenie Anglii i Francji staje się znacznie trudniejsze, wiedział, że Gdańsk i Pomorze nie leżą na linii zainteresowań Imperium Brytyjskiego, że politycy angielscy nieraz wypowiadali tę myśl, wiedział, że wojna z Niemcami jest dla Anglii ciężarem. Znał przewagę swoich wojsk lotniczych i pancernych, słowem znał wszystkie plusy przemawiające za nim; nie ogarniał jednak całości sytuacji, nie rozumiał, że istota sprawy leżała gdzie indziej, że szło tu o niezawisłość i istnienie Imperium Brytyjskiego.

Aby uniknąć wojny, Niemcy musiałyby cofnąć swe żądania w sprawie Gdańska i Pomorza i zadowolić się propozycjami, które Polska przedłożyła dnia 26 marca 39 r. rządowi Rzeszy za pośrednictwem amb. Lipskiego.

Ale to oznaczałoby klęskę Hitlera. Nie po to od miesięcy rozkołysano nadzieje szerokich mas, nie po to puszczono w ruch cały aparat propagandy, nie po to wreszcie zawarto umowę o neutralności z Moskwą, aby uzyskać to, co można było uzyskać już pięć miesięcy temu w drodze bezpośrednich układów niemiecko-polskich.

Hitler nie oglądał się na nic. Parł naprzód. Od 22 do 30 sierpnia trwały wysiłki dyplomatów angielskich i francuskich w Berlinie, aby doprowadzić do bezpośrednich rokowań niemiecko-polskich.

Byłoby rzeczą ciekawą zbadać dokładnie przebieg tych rokowań. Ułatwiłoby to może zorientowanie się w szczegółach niektórych posunięć, w subtelnościach rozgrywek dyplomatycznych — nie wniosłoby jednak nic ponad to, co zostało już poprzednio stwierdzone. Niestety, nie mamy pod ręką zbiorów dyplomatycznych dokumentów angielskich i francuskich, które głównie te sprawy oświetlają. „Polska Biała Księga“ cytuje ich niewiele.

W rozmowie z ambasadorem Wielkiej Brytanii w Berlinie w sierpniu 1939 r. Hitler oświadczył, że „nie może tolerować nadal mozaiki etnograficznej, istniejącej na wschodniej granicy Rzeszy“.

Ambasador Henderson podsunął myśl wymiany ludności, na co Hitler nie dał żadnej odpowiedzi („P. B. K.“, str. 42).

W depeście ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, lorda Halifaxa, do posta angielskiego w Warszawie, Kennarda, podane są wytyczne rządu angielskiego, na których podstawie ma działać ambasador angielski w Berlinie, Henderson, pertraktując z rządem Rzeszy.

W dokumencie tym czytamy:

„1. Odpowiedź, której mamy udzielić p. Hitlerowi, ustala wyraźnie rozróżnienie między sposobem przeprowadzania układu w sprawie nieporozumień niemiecko-polskich a istotą rozwiązania prowadzącego do tego celu. O ile chodzi o sposoby przeprowadzenia tego porozumienia, pragniemy zaznaczyć, że, naszym zdaniem, bezpośrednia dyskusja na równych prawach między oboma stronami wydaje się być najlepszym rozwiązaniem.

2. Rząd polski korzysta z opieki traktatu angielsko-polskiego.

3. Rząd J. K. M. wypowiedział już wyraźnie i powtarza to w swojej dzisiejszej odpowiedzi udzielonej p. Hitlerowi, że wszelkie załatwienie nieporozumień niemiecko-polskich winno ochraniać istotne interesy polskie i winno być zabezpieczone przez gwarancje międzynarodowe.

4. Oczywiście przyjęliśmy do wiadomości odpowiedź p. Hitlera udzieloną p. Daladier, ale nie możemy się zgodzić na to, żeby sugestie rządu polskiego, wskazujące na to, że jest on gotów do przeprowadzenia bezpośrednich rokowań, miały w jakimkolwiek stopniu przewidywać przyjęcie żądań Hitlera, które, jak wyraźnie zostało powiedziane, należy zbadać na podstawie ustalonych przez nas zasad.

5. Wobec tego, że z odpowiedzi rządu polskiego udzielonej prezydentowi Rooseveltowi wynika, że rząd polski godzi się na projekt przystąpienia do bezpośrednich pertraktacji, rząd J. K. M. spodziewa się najusilniej, że ze względu na wyjaśnione w powyższych ustę-

*) Ten ślepy pęd do wojny za wszelką cenę był kanonem polityki zewnętrznej rządu hitlerowskiego w roku 1939. W pamiętniku Ciano, który wpadł w ręce aliantów i był cytowany podczas rozprawy w Norymbierdze, znajdujemy ciekawy ustęp rzucający światło na postępowanie hitlerowskich dyplomatów.

Podczas pobytu w Berlinie (22. V. 39) Ciano za pytuje Ribbentropa: „Czego wy właściwie chcecie: autostrady przez polski korytarz, czy przyłączenia Pomorza do Rzeszy?“ „Wojny“ — odpowiada Ribbentrop.

pach rozważania, rząd polski zechce go upożyczyć do zawiadomienia rządu niemieckiego, że Polska gotowa jest do przystąpienia do bezpośrednich rozmów z Niemcami“.

Rząd polski godził się na przystąpienie do rokowań z rządem Rzeszy na zasadach wyłączonych w depeście min. Halifaxa, prosił jedynie rząd angielski o sprecyzowanie, co rozumie pod nazwą: „gwarancja międzynarodowa“.

W kulminacyjnym momencie rokowań angielsko-francusko-niemieckich dnia 27 sierpnia 1939 r. pojawił się w „Izwiestjach“, centralnym organie sowieckim, wywiad z marszałkiem Woroszyłowem w sprawie niepowodzenia rokowań angielsko-francusko-radzieckich.

W wywiadzie tym marsz. Woroszyłow wyraźnie precyzuje różnice zdań, jakie wynikły w czasie rokowań między państwami Zachodu a Związkiem Radzieckim i określa stanowisko polityczne swego rządu. Przytoczmy tekst tego ciekawego wywiadu, który rzuca światło na rozbieżności angielsko-rosyjskie w czasie rokowań i tłumaczy stanowisko rządu sowieckiego.

„Pytanie: W jaki sposób zakończyły się pertraktacje z misjami wojskowymi Anglii i Francji?

Odpowiedź: Wskutek ujawnienia się poważnych różnic zdań pertraktacje zostały przerwane i misje wojskowe wyjechały z Moskwy.

Pytanie: Czy wolno wiedzieć, na czym polegały te różnice zdań?

Odpowiedź: Radziecka misja wojskowa uważała, że ZSRR, nie posiadając wspólnej granicy z agresorem, mogłoby okazać pomoc Francji, Anglii i Polsce jedynie pod warunkiem przepuszczenia jego wojsk przez terytorium polskie; nie ma bowiem innej możliwości, by wojska radzieckie mogły wejść w kontakt z wojskami napastnika. Podobnie jak wojska angielskie i amerykańskie podczas ubiegłej wojny światowej nie mogłyby współdziałać z siłami zbrojnymi Francji, gdyby nie miały możliwości operowania na terytorium francuskim, tak samo radzieckie siły zbrojne nie mogłyby wziąć udziału w akcji wojennej razem z siłami zbrojnymi Francji i Anglii, jeśli nie zostałyby przepuszczone przez terytorium Polski.

Mimo całej oczywistości takiego stanowiska, francuska i angielska misja wojskowa nie zgodziły się z takim stanowiskiem misji radzieckiej, a rząd polski otwarcie oświadczył, że nie potrzebuje i nie przyjmie pomocy od ZSRR. Ta okoliczność uczyniła niemożliwą wszelką współpracę wojskową między ZSRR a tymi krajami. Taka jest rozbieżność zdań. Na tym przerwano pertraktacje.

Pytanie: Agencja Reutera doniosła przez radio: Woroszyłow oświadczył dzisiaj szefem misji wojskowych angielskiej i francuskiej, że wskutek podpisania paktu o nieagresji między ZSRR a Niemcami, rząd radziecki uważa za beużyteczne kontynuowanie rokowań z Anglią i Francją. Czy ta deklaracja agencji Reutera jest ścisła?

Odpowiedź: Nie. Nie odpowiada ona prawdzie. Rokowania wojskowe z Anglią i Francją zostały przerwane nie dlatego, że ZSRR podpisał pakt o nieagresji z Niemcami, przeciwnie pakt o nieagresji z Niemcami został podpisany między innymi dlatego, że pertraktacje wojskowe z Francją i Anglią znalazły się w ślepiem zauku, a to wskutek nie dających się przewyciężyć rozdziewików“.

Wywiad był nie lada sensacją. Wypowiedź sowieckiego ministra spraw wojskowych, umieszczona w oficjalnym organie, była deklaracją rządu, była posunięciem dyplomatycznym, które miało swój cel, sens i znaczenie.

Stwierdzając tak stanowczo, że porozumienie niemiecko-sowieckie nie wybiega poza ramy neutralności, że wywołało je głównie niewłaściwe stanowisko Anglii i Francji, rząd sowiecki chciał zmocnić opór państw zachodnio-europejskich przeciw agresji hitlerowskiej, chciał podkreślić, że aluzje niemieckie, jakoby to porozumienie miało oznaczać współpracę lub sojusz, nie odpowiadają rzeczywistości.

To posunięcie dyplomatyczne, będące wyrazem dotychczasowej polityki radzieckiej, miało doprowadzić albo do zerwania stosunków angielsko-niemieckich albo do przyjęcia przez Niemcy polskich propozycji.

Biorąc pod uwagę drugą ewentualność, ogłoszenie tego wywiadu w czasie rokowań było w pewnym sensie pomocą dyplomatyczną dla państw zachodnich i miało umożliwić Rosji ponowne zbliżenie się do Wielkiej Brytanii i Francji. O możliwości takich rokowań i współpracy napomknął marsz. Woroszyłow.

Gdyby Hitler zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakie uwikłał Rzeszę, robiłby wszystko, aby się z niego wyostać. Poniósłby klęskę dyplomatyczną, ale nie doprowadziłby Niemiec do katastrofy.

Dyplomaci państw zachodnich wysilali się, aby otrzymać od Hitlera propozycje, które mogłyby być podstawą do bezpośrednich rokowań polsko-niemieckich. Musiałyby więc one nie wychodzić poza granice instrukcji przysłanych przez rząd angielski ambasadorowi brytyjskiemu w Berlinie, musiałyby uwzględniać interesy Polski i pokrywać się w zasadniczych punktach ze stanowiskiem rządu polskiego.

Tymczasem na granicy polskiej odbywa się koncentracja wojsk niemieckich. Coraz czę-

ślej powtarzają się wypadki przekraczania granicy polskiej przez patroli niemieckie.

27 sierpnia ukazuje się rozporządzenie władz niemieckich wprowadzające karty żywnościowe oraz ograniczenia w sprzedaży artykułów włókienniczych. Powiadomiono attaché wojskowych i lotniczych, akredytowanych przy rządzie niemieckim, że nie wolno im opuszczać miasta Berlina bez specjalnego zezwolenia władz niemieckich.

Powołano pod broń rezerwistów. Dnia 28 sierpnia Niemcy opublikowały korespondencję między Hitlerem a premierem francuskim Daladier; Hitler zażądał przyłączenia Gdańska i Pomorza do Niemiec. Tego samego dnia wojska niemieckie wkroczyły do Słowacji i obsadziły granicę polską.

29 sierpnia Hitler zakomunikował ambasadorowi Hendersonowi, że na 30 sierpnia oczekuje przybycia przedstawiciela Polski, mającego dostateczne pełnomocnictwa. Hitler uważał swoją propozycję za ultimatum i oczekiwał przybycia delegata polskiego, który by podpisał warunki. Miało to być powtórzenie rozmowy z Hachą.

Wobec takiej sytuacji rząd polski wydał rozkaz mobilizacji.

29 sierpnia 1939 r. o godz. czwartej ambasadorzy Anglii i Francji zebrani na konferencji u podsekretarza stanu Szembeka prosili rząd polski, aby na razie powstrzymał obwieszczenie zarządzenia mobilizacyjnego, ponieważ w Berlinie toczyły się jeszcze rokowania.

Wskutek tego publiczne ogłoszenie rozkazu mobilizacji odroczone do następnego dnia. 30 sierpnia rząd angielski wręczył rządowi niemieckiemu odpowiedź na oświadczenie Hitlera z 29 sierpnia 1939 r. w sprawie bezpośrednich rokowań między Rzeszą a Polską.

W nocy swej rząd angielski jeszcze raz przypomniał o „żywotnych interesach i niepodległości Polski”. Zaznaczył przy tym, że „rząd JKM zawiadomi natychmiast rząd polski o odpowiedzi rządu niemieckiego. Sposób skontaktowania oraz nawiązania rozmów wi-

nien być najszybciej uzgodniony między rządem niemieckim i polskim, chociaż, zdaniem rządu JKM, natychmiastowe nawiązanie tych kontaktów nie będzie możliwe”.

Zdaniem rządu Wielkiej Brytanii, „byłoby wskazane, aby obie strony zobowiązały się, że podczas pertraktacji nie nastąpi żadne agresywne posunięcie wojskowe” („P. B. K.”, str. 46).

W odpowiedzi na propozycję angielska wszczęcia bezpośrednich rozmów z Rzeszą, rząd polski oświadczył 31 sierpnia 1939 r. w południe, że gotów jest je prowadzić zgodnie z instrukcją angielskiego ministra spraw zagranicznych, Halifaxa, do ambasadora Wielkiej Brytanii w Berlinie, Hendersona, z dnia 21. VIII. 1939 r. i że na zasadzie wzajemności zobowiąże się, że wojska polskie nie naruszają granicy niemieckiej.

W myśl tej odpowiedzi rząd polski przesłał dnia 31. VIII. 1939 r. o godzinie 12.40 do ambasadora Lipskiego depeşe, w której prosi o zakomunikowanie rządowi niemieckiemu co następuje:

„Tej nocy rząd polski został poinformowany przez rząd brytyjski o wymianie zdań między tym ostatnim a rządem Rzeszy, w sprawie możliwości bezpośrednich rozmów między rządem Rzeszy a rządem polskim. Rząd polski odniósł się życzliwie do sugestii rządu brytyjskiego, któremu za kilka godzin zostanie udzielona w tej sprawie odpowiedź formalna”.

Po otrzymaniu tej depeşy ambasador Lipski udał się do ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy. Ribbentrop przyjął go o godzinie 18.30, zapytując go, czy ma pełnomocnictwa do pertraktacji i oświadczył, że rząd niemiecki będzie rozmawiał tylko z takim pełnomocnikiem. Zaznaczył też, że zakomunikuje kanclerzowi Rzeszy o rozmowie z ambasadorem Polski. („P. B. K.”, str. 48).

Rządowi niemieckiemu chodziło więc o pertraktacje z takim delegatem, który by miał pełnomocnictwa podpisania wszelkich warunków przedłożonych przez Rzeszę.

Dnia 31 sierpnia 1939 r. o godzinie 21 rząd Rzeszy nadał przez rozgłośnie niemieckie oficjalny komunikat, w którym domaga się włączenia Gdańska do Rzeszy oraz plebiscytu na Pomorzu po uprzednim usunięciu stamtąd władz polskich.

Dnia 1 września 1939 r. o godzinie 4.45 wojska niemieckie przekroczyły bez wypowiedzenia wojny granice Polski z zachodu, północy i południa.

Wielka Brytania i Francja próbowały nadal w ciągu dwóch i pół dnia interweniować w Berlinie w celu zażegnania wojny. Próby te nie dały wyniku.

3 września 1939 r. o godzinie 12 Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Rzeszy, po południu „po wahaniach”, jak określa autor przedmowy do „Polskiej Białej Księgi”, także Francja.

Historia dni od chwili rozpoczęcia działań wojennych między Niemcami a Polską do momentu przystąpienia do wojny mocarstw zachodnich byłaby, rzecz jasna, niezmiernie ciekawym przyczynkiem, który by rzucił światło na przebieg akcji dyplomatycznej mocarstw zachodnich i przyczyny „wahań” Francji, o których napomknął autor przedmowy do „Polskiej Białej Księgi”.

Niestety, nie mamy dostępu do dokumentów, które by pozwoliły nam wyjaśnić te sprawy. Możemy jednak stwierdzić, że były dwie najważniejsze przyczyny „wahań” Francji:

1. neutralność Rosji, wskutek czego cały ciężar nierównej walki przerzucony został na Francję. Neutralność ta w najwyższym stopniu utrudniała, jeżeli wręcz nie uniemożliwiła przeprowadzenie francuskiego planu wojny, ustalonego między gen. Gamelin i gen. Kasprzyckim;

2. kłopoty grupy francuskich faszystowskich polityków jak Laval czy Pétain, którzy pragnęli zbliżenia do państw osi.

Sprawa udziału Rosji w wojnie była, jak widzimy, decydująca dla całego rozwoju kampanii wojennej; neutralność jej przyczyniła

się w dużej mierze do przebiegu działań wojennych na froncie polsko-niemieckim w roku 1939 i na froncie zachodnim w roku 1940.

Zasadą polityki polskiej z lat 1934—39. kierowanej przez min. Becka, było niewciąganie ZSRR do rozgrywek z Niemcami. Nawet w najkrytyczniejszych chwilach stosunków polsko-niemieckich w sierpniu 1939 rząd polski odzygnął się od pomocy sowieckiej. 27 sierpnia 1939 r. marsz. Woroszyłow zakomunikował, że „rząd polski oświadczył wprost, że pomoc wojskowa ZSRR nie jest mu potrzebna i że pomocy takiej nie przyjmujemy”.

Polityka ta, uniemożliwiając wciągnięcie Rosji do koalicji antyhitlerowskiej, miała decydujące znaczenie w momentach najbardziej krytycznych dla Europy i Polski i niewątpliwie przyniosła ogromne korzyści taktyczne Niemcom, a wielką szkodę Polsce i innym państwom antyhitlerowskim. Nie ziszcila ona w najmniejszym stopniu nadziei, jakie pokładali w niej jej twórcy.

Szczególnie szkodliwa była ona w latach 1937—1938, a przede wszystkim po Monachium, gdyż posunięcia dyplomatyczne Polski miały w owym czasie olbrzymie znaczenie i wpływ na ogólny rozwój polityki mocarstw w Europie.

Korzenie i tradycje tej polityki były wcześniejsze aniżeli okres, w którym płk. Beck piastował urząd kierownika polskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Sięgają one czasów powstania państwa w roku 1918. Kanoony polityki zagranicznej, przyjęte u progu niepodległości, potwierdzone i uświęcone od roku 1926 przez Piłsudskiego, a doprowadzone do ostatecznych konsekwencji przez jego następców — Becka i Rydza-Smigłego — były główną przyczyną katastrofy wrześniowej.

Gruntowne studia nad zasadami i przebiegiem polityki polskiej w latach 1918—1939 są konieczne nie tylko ze względów historyczno-naukowych, ale i dydaktyczno-społecznych.

Wacław Zawadzki

WINCENTY STYS

Perspektywy ludnościowe Polski

W nr. 21 (78) „Odrodzenia” z 26 maja 1946 prof. K. Grzybowski zamieścił artykuł pod uderzającym tytułem: „Rok 1975: 40 milionów Polaków — 60 milionów Niemców”. Wypada się zastanowić nad tym przypuszczeniem. Czy istotnie są widoki na to, by ludność nasza osiągnęła do r. 1975, a więc w ciągu 29 lat, cyfrę 40 milionów i zmieniła stosunek swój do liczby mieszkańców Rzeszy, przedstawiający się obecnie jak 1:3 na 2:3.

Zacznijmy od ustalenia punktu wyjściowego. Spis ludności z 15 lutego 1946 wykazał u nas w nowych granicach 23,9 milionów mieszkańców, w czym około 2 milionów Niemców i 0,3 miliona Ukraińców i Białorusinów. Rdzennych Polaków wykazał spis nieco ponad 21 milionów. Ponieważ tak Niemcy jak i słowiańskie mniejszości narodowe opuszczają ustawicznie nasz kraj, zaś Polacy ze Związku Radzieckiego oraz z krajów zachodnich ciągle powracają, trudno jest jeszcze w tej chwili dokładnie powiedzieć, ilu Polaków znajdzie się ostatecznie na terenach Rzeczypospolitej po ukończeniu procesu migracji. W każdym razie możemy czynić co do tego pewne przypuszczenia.

Spośród 1 458 000 Polaków, zarejestrowanych na terenach odstąpionych Związkowi Radzieckiemu na wyjazd do Polski, przybyło do dnia 1. XII. 1945 r. 726 000 osób, oczekiwało na repatriację jeszcze 732 000 osób. Nadto z głębi Rosji spodziewano się przybycia około 400 000 repatriantów. Czyni to razem około 1 132 000 osób. Z tej cyfry do momentu spisu ludności przybyło zapewne ponad sto tysięcy, tak, że oczekiwać można było na powrót jeszcze około 1 miliona zarejestrowanych.

Na terenie Rzeszy, w strefach brytyjskiej, francuskiej i amerykańskiej przebywa jeszcze około 0,5 mil. obywateli polskich. Około 0,3 mil. Ślązaków, Kaszubów, Mazurów i Warmiaków tudzież Polaków z Westfalii, b. obywateli niemieckich, zechce może powrócić do kraju. Około 0,2 mil. obywateli naszych przebywa w W. Brytanii i jej imperium. We Francji znajduje się kilkaset tysięcy Polaków, z których część zdecyduje się może również na powrót. Nie bierzemy pod uwagę propagandy przeciw powrotowi, sądząc, że na dłuższą metę okaże się ona bezskuteczna. Niemniej jednak trudno przypuszczać, by repatriacja z Zachodu mogła nam dać więcej niż 1,5 miliona. Raczej da nam mniej. Ostatecznie dochodzimy do cyfry 23 a co najwyżej 24 milionów mieszkańców, którą możemy osiągnąć po ukończeniu procesów migracyjnych, gdzieś pod koniec przyszłego roku lub, powiedzmy dokładniej, na dzień 1 stycznia 1948 r. Wynikałoby stąd, że musielibyśmy do 1975 roku, tj. w ciągu 27 lat, wzrosnąć o 16 milionów ludzi. Czy jest to możliwe?

Teoretycznie biorąc leży to oczywiście w granicach możliwości. Według obliczeń, na których opierał się Malthus, ludność Stanów Zjednoczonych w ciągu pierwszych 150 lat od

powstania pierwszych osiedli podwajała się co 25 lat, wyzyskując w sposób nieograniczony swą siłę rozrodczą. Zatem przy podobnie wydajnej płodności można by dojść do r. 1975 nawet do cyfry 50 milionów ludzi!

Lecz w Europie nigdzie w ciągu ostatnich 150 lat nie stwierdzono „amerykańskiego tempa” przyrostu ludności. Ludność Rzeszy Niemieckiej, wynosząca w 1800 roku 24,6 milionów, podwoiła swój stan dopiero na krótko przed r. 1890, w którym osiągnęła 49,6 milionów. Ludność Anglii z Walią, odznaczająca się w XIX wieku szczególnie silnym przyrostem naturalnym, wzrosła z 13,9 mil. w r. 1830 na 29,0 mil. dopiero w r. 1890, potrzebowała więc na podwojenie się około 55 lat. W Hiszpanii podniosła się ludność z 10,5 mil. w r. 1800 na 21,4 mil. w r. 1920, a więc w ciągu blisko 120 lat! Ale przykładom tym można zarzucić, że nie uwzględniają one emigracji, która ze wszystkich wymienionych państw silnym strumieniem kierowała się do krajów zamorskich. Niemniej jednak, nawet gdybyśmy dodali cyfry emigrantów, w żadnym europejskim kraju nie stwierdzilibyśmy tak szybkiego wzrostu ludności, jaki w XVII i XVIII wieku miał miejsce w Ameryce. Tempo było 2—3 razy słabsze. A przecież wiek XIX to w Europie okres najsilniejszego przyrostu na-

turalnego, jakiego nigdy nie było ani przedtem, ani potem!

Ale powróćmy do oceny perspektyw ludnościowych Polski. Oto bardzo znamienne zestawienie, wzięte z Małego Rocznika Statystycznego za r. 1939, obrazujące wzrost naszej ludności w granicach sprzed r. 1939.

Lata	Ludność w tysiącach
1. I. 1895	24,019
1. I. 1914	30,310
1. I. 1919	26,282
1. I. 1931	31,668
1. I. 1939	34,849

Cyfra wyjściowa jest prawie taka sama jak ta, którą mamy szansę osiągnąć po ukończeniu migracyjnych procesów. Otóż jest ciekawe, że w ciągu 19 lat, jakie upłynęły od r. 1895 do 1914, ludność wzrosła o 6,291 tysięcy, albo gdyby dodać emigrantów — o 8,826 tysięcy, tj. 36,7%. Przeciętny roczny przyrost naturalny wynosił 18,5 na tysiąc mieszkańców i był szczytowym osiągnięciem. Ale i przy tym przyroście nie osiągnięto w ciągu 27 lat, tj. w r. 1922, cyfry 40 milionów, lecz tylko 33,5 milionów, (nie wliczając w to emigrantów w liczbie około 3 milionów), gdyby nie było wojny i wywołanych nią strat. Gdyby zaś po-

wstrzymano całkowicie emigrację, to prawdopodobnie nie osiągnęłoby nawet i tej cyfry, gdyż emigracja zarobkowa była w tym okresie główną dźwignią dobrobytu naszego kraju, a przez to także bodźcem dla przyrostu ludności.

Tymczasem bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej natężenie przyrostu naturalnego zaczęło słabnąć. Działy tu dwie siły w tym samym kierunku: 1) obniżenie się stopy życiowej i 2) rozpowszechnianie się praktyki regulacji urodzeń. Przyrost ludności na 1000 mieszkańców wynosił:

Lata	Przyrost
1908—1913	16,5
1921—1925	16,2
1926—1930	15,5
1932—1936	12,5
1937—1938	10,8

W latach wojennych liczba urodzeń malała u nas w dalszym ciągu, toteż gdyby nawet nie było przyczyn specjalnych powodujących szczególnie wysoką śmiertelność, cyfry przyrostu byłyby niewątpliwie jeszcze niższe niż w r. 1938. Przyszłą ewolucję w dziedzinie ludnościowej trudno przewidzieć, zdaje się jednak, że oczekiwanie wydatniejszego wzmocnienia się przyrostu ludności byłoby złudne, mimo pewnego zwiększenia się liczby urodzeń w niektórych krajach podczas wojny. (Zob. St. Szulc: „Przełom w sytuacji demograficznej europejskiego kręgu kulturalnego?” — „Problemy”, nr 3). Można raczej przypuszczać, że siła przyrostu naturalnego będzie nadal słabła.

Ale przyjmijmy, że przyrost ludności w Polsce ustabilizuje się na przedwojennym poziomie 1% rocznie. Zobaczymy, jakiego czasu byłoby potrzeba, aby Polska osiągnęła 30 milionów, przyjmując cyfrę 24 mil. na dzień 1. I. 1948 za punkt wyjścia.

Otóż po dokładnym wyliczeniu okaże się, że dopiero w r. 1975 osiągnęłaby ona tę cyfrę, lekko ją nawet przekraczając (30,2 mil.), pod warunkiem, że nie byłoby żadnej emigracji. Tak więc nawet przy najbardziej sprzyjających założeniach nie może być mowy o tym, byśmy mogli w r. 1975 mieć 40 milionów ludności polskiej. Będziemy mogli sobie pogratulować, jeśli dojdziemy do 30 milionów. Byłoby to o 10 milionów mniej niż przyjmuje prof. Grzybowski. Ale też tylko piórem na papierze można tak cudownie rozmazać ludzi, jak on to czyni.

Stan rzeczy istniejący obecnie na odcinku ludnościowym nie może zgoła nastrajać do optymizmu. Liczba urodzeń spada znacznie poniżej przedwojennego stanu i ma tendencję do dalszego spadku, z uwagi na rozszerzanie się praktyk zapobiegawczych wśród ludności wiejskiej. Równocześnie śmiertelność w następstwie głędy i wycieńczenia organizmów w latach wojny jest znacznie większa. Oczywiście, że w miarę zalecania skutków

Z SALONU WIOSENNEGO W WARSZAWIE



JERZY FEDKOWICZ

Martwa natura

wojny zaznaczy się pewna pod tym względem poprawa. Jednak jest wątpliwe, czy osiągniemy przedwojenne tempo przyrostu. Jeśli zaś spadek liczby urodzeń nie zostanie powstrzymany, staniami wobec widma stagnacji ludnościowej, która może się stać faktem właśnie gdzieś około 1975 roku.

Uważam, że jest rzeczą niebezpieczną oddawać się optymistycznym złudzeniom, bo ich następstwem może być polityka gospodarcza, która może na odcinku demograficznym wywołać nieobliczalne szkody, cała bowiem nasza przyszłość w tym położeniu geopolitycznym, w jakim się znajdujemy, a w szczególności nasze utrzymanie się na Ziemiach Odzyskanych, zależy jest od zachowania naszej przężności demograficznej na jak najdłuższy czas.

Jest wysoce prawdopodobne, że dzieli nas jeszcze jakichś 25—30 lat od momentu początkowego stagnacji. Ten okres należy jak najbardziej wyzyskać, by jak najbardziej podnieść siłę liczebną narodu. W tym celu należy prowadzić politykę podnoszenia dobrobytu. Nasze masy ludowe, zwłaszcza chłopstwo, reagują jeszcze na razie żywym przyrostem na zwiększony dobrobyt, choć reakcja ta jest coraz słabsza. Otóż należy im ten dobrobyt zapewnić. Osobiście przypisuję w związku z tym wielkie znaczenie reformie rolnej i rozszerzeniu się naszej przestrzeni życiowej na zachodzie. Ale, mimo tych obu

doniosłych zdarzeń, jesteśmy na razie jeszcze bardzo biedni i bardzo nam daleko nawet do tej siromnej stopy życiowej, jaką mieliśmy w ostatnich latach przed wojną.

Stoimy wobec zadania, które przypomina rozwiązywanie kwadratury koła. By podnieść dobrobyt, musimy podnieść produkcję. By ją podnieść, musimy inwestować bardzo wiele, bo nasz aparat wytwórczy jest niesłychanie zdewastowany i bez wielkich wkładów nie da się uruchomić. Ale skąd wziąć na wielkie inwestycje? Nasz dochód społeczny tak jest mały, że dobrowolne oszczędzanie może dać tylko bardzo słaby przyrost kapitału, kogo bowiem stać dziś na oszczędzanie? Wobec tego pozostają dwie drogi: albo pomoc kapitału zza granicy i to na wielką skalę, albo przymusowe oszczędzanie (forced saving) tj. przymuszanie społeczeństwa, by rezygnowało z konsumpcji na rzecz inwestycji, wbrew swym nagłym potrzebom i życzeniom. Żyjemy w okresie wielkiego rozkwitu form przymusowego oszczędzania. Jedną z nich jest bezpośredni lub pośredni przymus pracy za unormowaną przez państwo płacę, przy takim regulowaniu cen dóbr konsumpcyjnych, by ta płaca na jak najmniejszą ich ilość wystarczała. W parze z tym idzie obracanie jak największej ilości pracy ludzkiej i surowców na produkcję dóbr kapitałowych (materiałów budowlanych, maszyn, narzędzi, środków transportowych itp.). Uzupełnieniem tego systemu

są operacje walutowo-kredytowe o charakterze inflacyjnym, połączone ze ściąganiem co pewien czas nadmiaru pieniądza przy pomocy pożyczek państwowych lub innych drastycznych środków. Oczywiście poświęcenie stopy życiowej na rzecz inwestycji odbija się bardzo ujemnie na przyroście ludności, który może ustać lub nawet zamienić się w ubytek. Może to być obojętne dla krajów, które jeszcze nic nie wiedzą o regulacji urodzeń, bo ich dynamika ludnościowa tak jest potężna, że odrobi straty wnet po osiągnięciu nasycenia inwestycjami i porzuceniu metod przymusowego oszczędzania. Jednak tam, gdzie zagraża stagnacja ludnościowa, polityka taka może ją znakomicie przyspieszyć.

Zdaje się zatem, że w sytuacji naszej należałoby szukać w jak największej mierze pomocy zagranicznej w dziele odbudowy, a gdyby ona zawiodła lub z uwagi na gospodarce albo polityczne warunki była nie do przyjęcia, zachować pewien umiar w dążeniu o własnych siłach do szklanych domów, bo i tak ofiary obecnej generacji na rzecz przyszłych będą musiały być znaczne, co odbije się ujemnie na jej liczebnym wzroście.

Tak więc, gdy pierwsza część tezy prof. Grzybowskiemu o 40 milionach Polaków okazała się całkiem bezpodstawną, co myśleć mamy o drugiej jej części, a mianowicie o 60 milionach Niemców w r. 1975? Otóż to wydaje się zupełnie prawdopodobne, z uwagi na warun-

ki, w jakich znalazły się Niemcy z własnej winy. Mają one nie tylko rozbitą aparat wytwórczy, ale ponadto zmniejszoną przestrzeń życiową. Ich walka o chleb codzienny jest i będzie niesłychanie trudna, a stopa życiowa bez porównania niższa niż przed wojną. Liczba urodzeń spadnie tam wobec tego katastrofalnie, zaś przy dużej śmiertelności zaznaczy się wnet ubytek ludności w cyfrach absolutnych. Osiągniemy więc może w r. 1975 stosunek 1:2 (nie 2:3, jak przyjmuje prof. Grzybowski) pod warunkiem, że nie podetniemy własnego przyrostu naturalnego, który stanowił dotąd główne źródło naszej siły w walce o byt.

Prof. Grzybowski ma natomiast całkowitą rację, gdy mówi o warunkach wygrania wyścigu ludnościowego z Niemcami. Trzeba nam jak najdłuższych lat pokoju, do którego droga prowadzi przez przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Przyjaźń polityczna umożliwi także i gospodarczą współpracę, która może ułatwić nam nasze zadania w dziele odbudowy, a przez to ożywić nasz przyrost ludności. W każdym razie zwolni nas ona od wielu z tych ciężarów, jakie musielibyśmy, zresztą bez żadnej nadziei, wziąć na swe barki, gdybyśmy musieli strzec swego państwa sami, otoczeni przez wrogów, wśród których, w razie prowadzenia przez nas polityki nieprzyjaźni, przecie i potężny nasz sąsiad wschodni z konieczności był się znalazł.

Wincenty Stys

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

Po wyborach w Niemczech

Norymberga, w czerwcu 1946 r.

Wybory samorządowe, które odbyły się w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, są wydarzeniem, któremu warto poświęcić nieco uwagi. Świadczą one o pewnym zniecierpliwieniu ujawnionym przez rząd Stanów Zjednoczonych, który rezygnuje widocznie z chęci szybkiego uzgodnienia poglądów na całość zagadnienia niemieckiego. (Jak wiadomo, w pozostałych strefach wybory się nie odbyły, ani w najbliższej przyszłości odbyć się nie mają). Możliwe jest, iż Stany Zjednoczone pragną przyspieszyć przykładem, jaki dają, powzięcie decyzji przez inne mocarstwa okupujące Niemcy, lub postawić je przed pewnymi faktami dokonanymi. Być może również — ewentualność tę trzeba brać pod uwagę — iż wybrane rady miejskie (odbyły się jedynie wybory do samorządów municypalnych) mają być podstawą do wyłonienia reprezentacji politycznej części Niemiec pozostającej pod okupacją amerykańską, która weszłaby w skład proponowanej przez Mołotowa „komisji ogólnoniemieckiej” uprawnionej do podpisania warunków pokoju.

Wszystko to są oczywiście hipotezy, które mają pokrycie tylko w prawdopodobieństwie. To jest wiele, ale to jest i niewiele jednocześnie.

Wybory w strefie amerykańskiej są wydarzeniem przede wszystkim z tego powodu, iż po raz pierwszy od wielu lat naród niemiecki mógł dać wyraz swoim poglądom. Czy rzeczywiście skorzystał z wolności wypowiedzenia się? Czy wynik wyborów jest probierzem nastrosków w tej części Niemiec, gdzie się wybory odbyły? A jeśli tak, to jakiej ewolucji ideowej naród niemiecki uległ? — Oto zagadnienia, które nas nie mniej od innych sąsiadów Niemiec obchodzą.

Wyniki wyborów mimo przysłowiowej wymowy liczb wymagają omówienia. Same nazwy ugrupowań, które w wyborach otrzymały największą ilość głosów, działają co prawda na naszą wyobraźnię polityczną, lecz działają w sposób schematyczny. Obawiam się, że wniośki, jakie przeciętnie zorientowany czytelnik wysnuje z komunikatów prasowych, nie będą odbiegały od obrazu, jaki sami wyborcy niemieccy chcieliby narzucić światu o sobie. A obraz ten wymaga pewnych retuszów.

Czy to, że chrześcijańscy demokraci (Christlich-Soziale Union, odpowiednik dawnego centrum katolickiego) otrzymali największą ilość głosów (728 000, wobec 708 000 głosów oddanych na socjalistów i 145 000 na komunistów) świadczyć ma o odnowieniu roli Kościoła w życiu i polityce Niemców? Czy sukces socjalistów (S. P. D.) oznacza regenerację dawnej niemieckiej socjaldemokracji? O czym przekonywać ma niewielka stosunkowo ilość głosów oddanych na partię komunistyczną?

O odpowiedź na powyższe pytania można pokusić się po zapoznaniu się z hasłami politycznymi, z jakimi partie wystąpiły do wyborów oraz chociażby pobieżny przegląd ich terenu.

W dniu mego przyjazdu do Norymbergi całe miasto upstrzone było jeszcze wezwaniami i hasłami przedwyborczymi. Zwracały uwagę wielkie afisze chrześcijańskich demokratów i nie mniejsze — socjalistów. Nalepki wyzywające do głosowania na partię komunistyczną były mikroskopijne i przypominały wyglądem nasze podziemne ulotki przyklepane na murach za czasów okupacji. Nie chciałbym przez to wywołać wrażenia, że kampania przedwyborcza komunistów była zabroniona. Fakt dopuszczenia listy komunistycznej świadczy

przeciw takiej ewentualnej sugestii. Nie musiało być ona jednak specjalnie faworyzowana.

Oczywiście głównym hasłem powtarzającym się na wszystkich plakatach było hasło odbudowy Niemiec. To rozumiało się samo przez się i dlatego ugrupowanie pod nazwą „odbudowy” nie zasmakowało słodkich owoców powodzenia. Wszystkie grupy dążyły przecież do odbudowy. Odbudowy moralnej, gospodarczej. Jedynie kolejność specyfikacji miała znaczenie.

Chrześcijańscy demokraci wysunęli na czoło „odbudowę moralną”, lecz sens polityczny tego hasła ukryty był w klauzuli wyraźnej: partia zabezpieczy poszanowanie własności prywatnej. Bez żadnych już dalszych zastrzeżeń. Ani słowa o sprawiedliwości społecznej, ani słowa o jakimś konkretnym programie, który by stwarzał ramy chroniące przed wyzyskiem. Jest oczywiście, że przemysł wszystkich rodzajów i wszelkich rozmiarów w powodzeniu chrześcijańskich demokratów był zainteresowany.

Zwycięstwo chrześcijańskich demokratów natchnęło mnie do poszukiwania widocznych śladów wpływu tej partii. Wydawało mi się, że nie ma łatwiejszej sprawy niż ta właśnie. Wystarczy — myślałem — szukać w terenie najbardziej tej partii bliskim. Zwycięskiemu hasłu odbudowy moralnej Niemiec w duchu chrześcijańskim musi towarzyszyć wzrost natchnienia życia duchowego. Możliwe, że byłem zbyt skłonny do analogii i pochopnie posługiwałem się pamięcią z czasów okupacji niemieckiej w Polsce, gdzie ludność w okresie wojny odruchową pobożnością manifestowała swoją postawę moralną. Lecz czyż analogia taka nie narzuca się sama? Tym bardziej, że fakt zwycięstwa chrześcijańskich demokratów nie pozostanie na pewno bez echa w Watykanie, gdzie nieoczekiwanie przywłączy się wagę do takich spraw jak wybory. (Prasa angielska i amerykańska doniosły właśnie o nacisku bezpośrednim wywieranym przez Piusa XII na Włochów w związku z referendum w tym kraju. A nacisk ten nie ograniczał się do słów o dowolnym — jak bywało, pamiętamy chociażby z czasów wojny — sensie politycznym). A nie można być pewnym czy echo watykańskie nie dotknie i nas w jakiś sposób.

W Norymberdze poszukiwać widomych śladów życia bieżącego nie jest trudno. Pogębianie natomiast życia duchowego odbywać się może w niewielu ocalałych domach modlitwy.

W pierwszą po wyborach niedzielę obszedłem w godzinach najbardziej dla kultu sprzyjających wszystkie chyba norymberskie kościoły i zbory. (Wyznaję, że powodem mojej wdrówki nie była rzetelność reportera: sperałem wśród gruzów gotyku). Otóż zapewniam, że tłoku nie było. W jednej świątyni nie więcej niż 60 osób, w innej około 30 (same kobiety). W zborze ewangelickim natomiast zastałem dokładnie 17 wiernych słuchających objaśnień tekstu biblii dokonywanych przez pastora.

Nie chciałbym sprawić wrażenia przesady. Zależy mi właśnie na obiektywnym przedstawieniu dostępnego mi wycinka niemieckiej rzeczywistości, której sztyld po wyborach się ujawnił. Otóż czy sztyld ten nie jest przypadkiem reklamą przedsiębiorstwa, które nie egzystuje i tylko dla celów jakiejś panamy politycznej istnienie symuluje.

Obserwatorzy tutejsi duży nacisk kładą na separatyzm bawarski, który chrześcijańscy demokraci w okresie wyborów ujawnili w po-

łudniowych okręgach. Możliwe, że to im również zyski przyniosło. Lecz nie będzie daleka od prawdy interpretacja, iż siła tej partii opiera się nie tyle na odbudowie moralnej, ile na wstępcznictwie społecznym, które ona programowo głosi.

Tak, a socjaliści? — ktoś zapyta. Przecież odnieśli również sukces niemały i to w ośrodkach, które do niedawna były centrami hitleryzmu (Norymberga, Frankfurt m. 1.). I to właśnie jest najbardziej wymowne. Jak również to, że S. P. D. jest jedyną partią, która w programie przedwyborczym umieściła postulat polityczny. Pamięć o niemieckim wschodzie. Ogólnikowo ale dostatecznie wyraźnie. Czyż w sukcesie socjaldemokratów dzisiejszych, biorąc pod uwagę ich sugestie polityczne oraz teren wpływu, nie można dopatrzeć się już teraz, pod amerykańską okupacją, ujawnionych starych sympatii niemieckich dla każdego programu, który głosił będzie imperializm?

Nie mogę nie powrócić do mikroskopijnych nalepek przedwyborczych partii komunistycznej. Prasa różnojęzyczna wychodząca w strefie amerykańskiej poświęca uwagę umiarkowanej liczbie głosów oddanych komunistom. Wyrażone zostało nawet znaczące zdziwienie, że w okręgach robotniczych (miasta) komunistów posiadają ograniczone wpływy. Jakaż — padają pytania — będzie ich pozycja w reprezentacji politycznej strefy, gdy wybory przeprowadzone zostaną również i w okręgach wiejskich?

Trudno się bawić w proroka. Jest to zabawa nie fair wtedy, gdy prorokowanie jest ułatwione. A ułatwienie to mam na myśli, oglądając mikroskopijne nalepki przedwyborcze. Nie tylko zresztą.

Gdy przekraczałem granicę Czechosłowacji i Niemiec (amerykańskiej strefy okupacyjnej), zdziwiła mnie i moich towarzyszy (a było już 4 dni po wyborach) drobiazgowy kontrola celna przeprowadzana przez amerykańskich żołnierzy. Kontrola takiej nie było ani na punkcie kontrolnym polskim, ani na obu czeskich. Grzebali w kuferkach metodycznie, lecz inaczej niż mogłem się spodziewać. Nie szperali ani w bieliznie, ani w skarpetkach, ani nigdzie tam, gdzie można (jak się ktoś uprze) ukryć to i owo. Okazało się po jakimś czasie, że interesowali się książkami. I również metodycznie. Mój dość pokaźny zbiór książek i czasopism przyjęty został wybuchem śmiechu.

Jeszcze może nigdy nie słyzałem śmiechu tak serdecznego. Usłudni ze zdenerwowania moi współtowarzysze podróży wtórowali amerykańskim żołnierzom w wesołości i po raz pierwszy w życiu byłem zażenowany z powodu posiadania książek. Pytali mnie cynicznie, po co mi one a odpowiedź moja cieszyła ich jeszcze bardziej. Byłem już dezorientowany całkowicie.

Sytuacja wyjaśniła się jednak. Czechowi, który wiozł popularną broszurę o Mikulinie (sowieckim uczonym) kwestionowali jego prawo własności. Podobnie obeszlę się z Jugosłowianinem, który nie umiał dać rozsądnego wyjaśnienia, w jakim celu wiozł kilka broszur o treści popularno-politycznej.

Amerykanie dbają o zdrowie moralne Niemców. Pragną ich wychowywać sami i nie chcą trudu swego z nikim dzielić. Oczywiście, że do całego trudu mają w swojej strefie prawo. Pozostaje tylko sprawa niebiaha, czy mogą się wykazać wynikami pracy.

Niemcy, co życie na każdym miejscu dziś potwierdza, są narodem pojętym. Orientują się szybko i bez trudności chwytają w lot intencje swoich wychowawców. Wystarczy

chwila rozmowy z przygodnym obywatelem Norymbergi o procesie i pod sądnych.

Ale Niemcy są również sprytni. Potrafią wzmóc wychowawcom swoim, że właśnie takie, a nie inne były ich pedagogiczne intencje.

Wyniki wyborów samorządowych są wyrazem pojętności i sprytu zarazem. Niech czytelnik sam rozstrzygnie, gdzie leży granica między tymi dwoma umiejętnościami realizowanymi. Wydaje mi się jednak, że naiwność amerykańska ma też swoje granice. Że przecież zaoceaniczni wychowawcy Niemców zorientują się z czasem i wtedy poświęcą nieco wysiłku wykorzenianiu imperializmu z umysłów niemieckich.

Lecz, aby tego dokonać, muszą przede wszystkim zmienić metody wychowawcze i zrezygnować z nieufności do ideologii, która jedna jest w mocy przemieniać umysły i rzeczywiście odbudować Niemcy moralnie.

Zbigniew Bienkowski

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH
OPUŚCI PRASĘ KSIĄŻKA

TADEUSZA BREZY,

MURY
JERYCHA

NA KLADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
„CZYTELNIK”

NA KLADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
„CZYTELNIK”

UKAŻA SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE

ARKADEGO FIEDLERA

DYWIZJON

303

DZIĘKUJĘ CI,
KAPITANIE

DWIE KSIĄŻKI
O ŚWIATOWYM ROZGŁOSIE

TADEUSZ BREZA

Francuski krzyż i polski wiersz

Niedawno próbowałem przedstawić*) zasadniczą różnicę w położeniu naszej inteligencji, oraz inteligencji francuskiej podczas okupacji. Następnie wymieniłem dwie grupy wśród intelektualistów francuskich, które prowadziły na terenie Francji walkę z Niemcami i walkę z Pétainem w sposób szczególnie impetyczny i zaciekle. Przyglądając się działalności tych grup, już pod kątem historii, zdaje się człowiek podchwytwać prócz powodów zasadniczych, światopoglądowych i narodowych, jeszcze jakiś powód, wolno chyba tak powiedzieć, osobisty, który owym dwóm walczącym grupom dodawał zacięcia.

Te dwie grupy to komuniści i spory odsetek katolików. O komunistach opowiedziałem już i dotknąłem tej szczególnej, jednorazowej przyczyny, która na terenie Francji czyniła z nich wprost strażników w ich walkach z Niemcami. Ten powód — oczywiście był to jeden z wielu, które z góry już orzekały o tym, że komuniści będą i muszą walczyć z niemieckim najeźdźcą na terenie Francji — ten powód dodatkowy był bardzo ludzki. Po prostu każdy komunista francuski pragnął za wszelką cenę swoją wzmożoną aktywnością zrzucić z siebie ciężar, który padł na niego i na jego towarzyszy w miesiącach przed samą wojną i w pierwszych długich miesiącach wojny, kiedy to po pakcie Molotowa i Ribbentropa Rosja Sowiecka zdawała się być pogodzona z Niemcami.

Każdy komunista francuski szarpał się w tej dwuznacznej sytuacji, w jakiej się znalazł. Inni Francuzi, nie związani z ich partią, pooglądali na nich wzrokiem pełnym szysterstwa. Od samych szczytów idąc, komisje parlamentarne, na których rozważano sprawy najwyższej państwowej wagi, zamknęły przed komunistycznymi posłami swoje drzwi. Wiceprzewodniczącego komisji spraw zagranicznych Gabriela Péri wyproszono z sali posiedzeń, „ponieważ rozprawy dotyczące będą spraw Francji”. Na podobieństwo samego państwa, które zamykało drzwi przed nosem „złych Francuzów”, zamykano przed nimi tysiące domowych, prywatnych drzwi. A wzamian za to otwierały się wielkie wrota — otwierał je Daladier — wrota koncentracyjnych obozów. Aby los francuskich komunistów uczynić we wstępnej fazie wojny jeszcze bardziej gorzkim, a położenie jeszcze bardziej dwuznacznym, Niemcy wkroczywszy do Francji kazali Francuzom uwolnić z obozu wielu komunistów. Kiedy się o tym pamięta, rozumie się tę pasję, którą w najbliższej przyszłości mieli okazać na terenie francuskim komunistyczni członkowie ruchu oporu. Nareszcie szczerzy, nareszcie wolni, nareszcie bez maski. Zaangażowani w tę sprawę nie tylko z przekonania, ale także z poczucia, że w oczach tylu swoich rodaków byli Francuzami z felerem. Teraz z rozmachem rzucili się w wir działalności, aby pokazać, że nie był to feler, ale pozór. I ten ich gest, ten rozmach właśnie bardzo patriotyczny, na przekór wszystkiemu, uczynił z komunistycznych członków ruchu oporu — Francuzów, oddanych do szpiku kości sprawie Francji, która zdała się przez chwilę wątpić o nich jako o swoich synach. Aż przekonali ją o jej pomysłach. I przekonali wszystkich swoich bliskich i wszystkich swoich rodaków, że tylko z musu pewną pętlę drogi obiegli inaczej niż reszta Francuzów. Teraz już, na dalszych odcinkach drogi, idąc ze wszystkimi!

Ze wszystkimi, którzy szli z Francją! Wśród nich można było znaleźć Francuzów najróżniejszego autoramentu. Można było znaleźć Francuzów spod różnych znaków. Ale wśród tych znaków, które gromadziły wokół siebie Francuzów nie pogodzonych z okupacją i Pétainem, dwa były znaki najsilniej przyciągające do siebie ludzi. Jeden znak to był sierp i młot, o którym mówiłem, drugi znak to był znak krzyża, o którym teraz zamierzam opowiedzieć. Te dwie chorągwie: czerwona i kościelna szły na czele dwu największych zastępów ludzkich. Dwu zastępów Francuzów najaktywniejszych, największego poświęcenia, najbardziej w walce o Francję, o tę wówczas tak nieszczęśliwą jedną ojczyznę.

Kiedy słucha się dłużej o działalności niepodległościowej katolików już po upadku Francji, zwolna z tego chaosu wypadków, akcji i kontrakcji wyłania się podobna sytuacja psychologiczna i socjologiczna jak ta, o której opowiadałem przed chwilą, mówiąc o komunistach. I ich też, katolików, okoliczności polityczne, po pewnym skrócie historycznym, zapędziły w kozi róg. Ten róg już nie był pozorny i ten róg już nie miał być rogiem przejściowym. Sytuacja katolików była więc gorsza niżeli marksistów. Nie będą jednak rozważał tu różnic, rzucając się one w oczy; pragnę właśnie mówić o pewnych analogiach, o pewnych podobieństwach. W kozi róg zapędził francuskich katolików Pétain. Nie on jeden oczywiście, ale Maurras, Bonnard, Abel Hermant, cała polityczna i intelektualna góra kapitulantów. Każdy z nich zdał się na codzień chodzić z wielką

chorągwią Chrystusową, nawołując Francuzów pod sztandar Pétaina ostentacyjnie katolicki. Bo pétainizm obiecywał, że odrodzi nie tylko Francję, ale również odrodzi katolicyzm. Katolicyzm przy pomocy Francji, Francję przy pomocy katolicyzmu.

Pétainizm miał być wielką rewolucją, a raczej wielką kontrrewolucją moralną. Myślał o moralności jak najbardziej tradycyjnej, zbudowanej na fundamentach sięgających hen! w głąb dziejów Francji, w średniowiecze, a jeżeli nie w taką dal, to przynajmniej w czasy sprzed Wielkiej Rewolucji, kiedy to o Francji rzeczywiście można było mówić, że jest pierwszą córką Kościoła. Zew Pétaina był silny, a raczej, kiedy Pétain się odezwał, zalegała Francję taka oniemiałość, że głos jego dawał się słyszeć bardzo wyraźnie. I katolicy ruszyli ku Pétainowi. Prawie wszyscy, a przynajmniej wszyscy katolicy prostoduszni i wszyscy nastroszeni zachowawczo.

Ale spora garść katolików, już od tego pierwszego dnia poczawszy, pozostała na uboczu. Pozostali na uboczu katolicy postępowi. Oni, i część episkopatu z nimi związana, i wszyscy związani z katolicyzmem postępowym laicy filozofowie, myśliciele i pisarze katolicki. Czy to grupa jakaś? Ścisłej skrzydło. A może jeszcze ściślej: wszystko to, co się znajduje po brzegach owej wielkiej grupy ludności francuskiej, będącej katolicką. Bo nie można zapominać o tym, że nie cała Francja jest katolicka. W ostatnim głosowaniu dwie trzecie głosów padło we Francji na listy: socjalistyczną i komunistyczną.

U nas katolicyzm rozlał się szeroko i pokrywał de domine cały kraj. Tam, we Francji, jest on wyznaniem pewnej grupy, bardzo znacznej, ale bądź co bądź będącej mniejszością w kraju. I ma on właśnie tę strukturę socjalno-kulturalną, typową dla grup religijnych mniejszościowych. Katolicyzm francuski ma swoich chasydów i ma też swoich asymlantów. Ma też swoich cadyków — zjawisko typowe dla grup wyznaniowych, w których nurt życia kościelnego i nurt życia religij-

nego nie muszą się pokrywać. Cadyk jest wolnopraktykującym mędrcom w zakresie spraw religijnych. Dla podobnych mędrcom nie ma miejsca tam, gdzie Kościół jest instytucją silną i wskutek tego skupiającą w swoim ręku całość życia religijnego oraz wyznaniowego jednego narodu. We francuskim katolicyzmie jest miejsce dla podobnych cadyków, ponieważ laicyzm dla Francuza jest naturalniejszą postawą życiową niżeli kościelność, łatwiej przyjmować on będzie idee i sugestie katolickie, jeżeli mu je podpowie pisarz katolicki, niżeli katolicki ksiądz.

Mówiąc o cadykach francuskiego katolicyzmu mam na myśli pisarzy, myślicieli i filozofów katolickich jak Claudel, Mauriac, Maritain, Mounier, czy Bernanos. Mówiąc zaś o katolicyzmie postępowym mam na myśli ten rodzaj katolików, którzy — jeżeli już mamy pozostawać w kręgu tej samej metaforyki — dążą w pewnym sensie do zasymilowania się z resztą społeczności francuskiej. Są to katolicy najzupełniej autentyczni i przekonani głęboko o swojej pozaświatowej prawdzie, ale katolicy, którzy chcą się jak najmniej różnić od całej reszty swojego narodu. Są to katolicy, którzy starają się do minimum sprowadzić zakres swojej odrębności. Chcą być jak najbardziej zwykłymi Francuzami. A ponieważ zwykły Francuz jest rewolucjonista, jest jak się to mówi, postępowy — katolik z rodzaju, który omawiam, nadają za nim.

Katolicyzm ten, aktywny i żywy, nadaje Kościołowi francuskiemu specyficzną wagę gatunkową. Od samego początku nastroszył się on w stosunku do Pétaina. Pomiędzy nim a Pétainem była przepaść. Pétain i jego grupa wielbili w Kościele właśnie to, co jest najbardziej tradycyjne i ostentacyjne. W zamian za to znowu wielbili go katolicy chasydzi. Katolicyzm postępowy uważał zaś, że Kościół tradycją i ostentacją nieraz zamyka się przed ludźmi. Pétain widział, że nie może liczyć na przychylność postępowców. Ale po niejakiem czasie ujrzał, że za tymi postępow-

cami idą ludzie dotychczas w stosunku do nich chłodni. Idą katolicy różni, tacy i owacy, których trudno podciągnąć pod jeden katolicki odcień, za to łatwo ich podciągnąć pod jeden uczuciowy strychulec. To byli Francuzi, w których wstręt budziła kapitulacja i to byli katolicy, którym wstrętna była myśl, że katolicyzm mógłby mieć coś wspólnego z kapitulacją.

To, z czego Pétain był najbardziej dumny i to na co najbardziej liczył, że Kościół wesprze się na państwie a państwo na Kościele, to właśnie okazało się zabójcze. Coraz większą ilość katolików obrażał ten pomysł Pétaina, aby nieszczęściem Francji nakarmić Kościół francuski. Aby z francuskiego Kościoła uczynić szakala, który żywi się i tuczy cierpieniem i trupem. Francja i Kościół dla katolika francuskiego były pojęciami sobie bliskimi, pojęciami, które winny świadczyć sobie samo dobro. Pierwszy Pétain zahuszał nimi inaczej. Tak, aby, gdy jedno znalazło się w poniżeniu, drugie mogło przez to samo doznać wywyższenia. Katolikom zaczęło się to wydawać czymś haniebnym.

Wśród całej masy Francuzów pojęcia katolicyzmu i patriotyzmu zaczęły się rozbiegać. Jak na początku wojny, być komunistą to było dla niewtajemniczonych to samo, co być złym Francuzem, tak teraz być katolikiem to było prawie że to samo, co być kapitulantem, zwolennikiem Vichy, a więc dla wielu Francuzów po prostu zdrajcą. I tego całe tysiące, całe dziesiątki tysięcy katolików nie mogły znieść. Ruch oporu porwał ich i wybił ich porwał i tak, ale żywość, z jaką mu się oddali, zapamiętałość, impet, na pewno bardzo dużo zaczerpnęły z tego, że walcząc o Francję walczyli zarazem o honor i o czystość tak drogiej im idei, którą Pétain pohańbił.

Katolicy, którzy walczyli, mieli swoje hasła i swoje święte teksty. Przypominano je sobie, przepisywano, kolportowano. Wspomniałem już o prowincjale paryskich karmelitów ojcu Thierry d'Argenlieu, dawnym oficerze marynarki. On to, rozważając sprawę wojny, zwrócił się do swego przyjaciela kardynała Paryża Verdier, prosząc go o poradę, w jaki sposób najlepiej użytkuje własny czas, kiedy nadejdzie wojna. Czy modląc się, czy też bijąc się. Kardynał mu odpowiedział: „W wojnie tej chodzi o najwyższe wartości moralne. Stawka jej jest wysoka. Od jej wyniku zależy przyszłość i życie chrześcijaństwa”. I karmelita pojął wówczas, że na to, aby po wojnie mogła nadal istnieć sama możliwość modlenia się po klasztorach, trzeba dzisiaj walczyć. Trzeba zwyciężyć potęgę, która tej możliwości zagraża. Przeor wrócił do służby, ale już nie kościelnej — po upadku Francji przedostał się z de Gaullem do Londynu, w biegu wojny okazał się jednym z najwybitniejszych dowódców francuskiej marynarki. Nie zapomniał głosu kardynała Verdier, usłuchał go, przekazał innym.

Po kapitulacji wyraźnie i mocno odezwały się inne jeszcze głosy. Głosy trzech najwybitniejszych pisarzy katolickich Francji: Mauriaca, Bernanosa i Maritaina. Stawały one sprawę zupełnie jasno: między Francją a Hitlerem nie może być zgody. Bowiem przyszłość Francji i przyszłość krzyża leżą na jednej drodze. Na drodze zwycięstwa nad hitleryzmem. Bernanos przemyslał tę sprawę i przeżył do głębi. Kiedy wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, posłał tam swoich synów. Jako katolikowi wydało mu się rzeczą całkiem poza dyskusją, że synowie jego winni stanąć u boku generała Franco. Ale kiedy oczami swoich synów wejrzał w sprawę, przejrzał ją do głębi. W przepięknej publicystycznej książce „Les grands cimetières sous la lune” zdał z hiszpańskiej armii narodowej szatę krzyżowców, w którą ona chciała się ustroić; z tej armii, z której powrócili jego synowie przepojeni goryczą i wstydem. A oto głos Mauriaca: „Tego się właśnie obawiam, aby nasza przegrana nie pociągnęła za sobą wprowadzenia faszyzmu we Francji. My katolicy nigdy nie zdołamy nakłonić się do tej idei. Faszyzm, rasizm nie dadzą się w żaden sposób pogodzić z naszą wiarą. Jeżeli więc Francja padnie, na katolicyzm spadną prześladowania, nadejdzie nowa epoka prześladowań”. Najwybitniejsi z francuskich katolików wyraźnie mówią, co sądzić należy o niemieckich i pétainowskich zarządzeniach rasistowskich. Blisko osiemdziesięcioletni Paul Claudel przesyła wielkiemu rabinowi Lyonu list otwarty. Krąży on w tysiącach odpisów, pouczając masy katolickie Francji słowami pełnymi współczucia i wzburzenia o tym, jaki winien być ich stosunek do prześladowań żydowskich. Poglądową lekcję takiego ustosunkowania daje kardynał Lyonu Gerlier. Ze wspaniałą odwagą i pomysłowością ratuje życie setce żydowskich dzieci, które wziął pod swoją opiekę i przytulił w diecezjalnym sierocińcu.

Ale nie tylko poddają hasła żywi; francuscy katolicy nasłuchują głosów swoich wielkich zmarłych. Coraz to ktoś przynosi wydobytą

STEFAN FLUKOWSKI

TYRAN LEGĘDA

Jam jest Tyran Legęda, powstałem z popiołów i kości wędrujących przez ślepy rycerzy, mój miecz spoczywał długo w śnie ciężkim jak ołów, nim nowiem błysnął w niebie i czynem uderzył.

Jam jest Tyran Legęda, w borach me drużyny, czczą bóstw poczwórne lica, narodu misteria, w hełmie słonecznym wstałem z pieśni mego gminu gonić w bojowym wozie — odwieczna energia!

Z gór zeszedłem kamiennym łóżyskiem potoku, lupnąłem gniewnie nogą pod słym Wawelem, pióro mi trysło z czapki, w jego pawim oku widać chaty słomiane i strojne niedziele.

Z gór zeszedłem a za mną zbudzonych rycerzy srebrne broje dzwoniły po ulicach miasta, pękła skała, gdy wieszcz w nią piorunem uderzył i jąła bić na wieżach godzina dwunasta.

Tupię nogą aż wstrząsnę podzamcze i zamek. Smok zbudzony łoskotem tyska z paszczy żarem. Jak samuraj na odlew a smok tylko „Amen” — już Czerwonych Chrobatów jestem generałem.

Gdy nurki na mój rozkaz znajdą Wandy ciało, co się wśród wodorostów na dnie poniewiera, zwołam w łogach rektorów na walną naradę i każę spalić dzieła oszczercy Brücknera.

Miecz szczerbaty Chrobrego, Sobieskiego łarcza, tu Jan z Kolna, Kopernik, tam Beniowski pirat, fałszywych wieszczów werble po brukach zawarczą i rośnie narodowej mitologii czyrak!!!

Więc niech me hufce zbrojne podniosą na łarczach błady liść aloesu i kadz spirytusu, ma się w dziejach narodu legenda nawarstwiać, w lat pierścienie się mnożyć jak tyki bambosus.

Odkąd tu zamieszkałem na wysokim grodzie, co dzień zamkiem wstrząsają ciemne lewiałany — to przeciwnicy moi, w kajdanach na spodzie kołyszają fundamenty i ryją się w ściany.

I przez to właśnie zamek zyskał elastyczność, jak lando na resorach mój reżym faluje, gdy jadę nim przez mięso klaszcze mi publiczność, gdy w zamku siedzę każdy pilnie nadśluchuje.

Zeszedłem z gór wysokich sięjąc wszędzie wiarę w naród i pawie pióra i postępu bardon, by szczepić w ludzie ulność zawszem miał pod parą kardynała w kruchcie i gwardii konnej szwadron.

Dlatego dziś pancernym Wawelem na przełaj przejeżdżam jak pszenica przez opinii system, pomniki znaczą drogę bitewnego dzieła, i orły, i szlondary, i wawrzynów listek.

Co wczorajszym capstrzykiem, to dziś czworobokiem, w krzyku fanfar, na koniu, tak na zawsze będę, z czapki trysnie mi pióro, spojrzaj pawim okiem i cały kraj zahuczy — jeden wielki bęben.

*) „Intelektualiści francuscy w walce z okupacją” w nr 24 (81) „Odrodzenia”.



FRANÇOIS MAURIAO

z zapomnianych tekstów jakąś maksymę, powiadającą narodowi, co ma czynić i czego się strzec. Niektóre zdania zdumiewają tym, że pasują w sposób tak absolutny do nowej sytuacji. Oto na przykład zdanie z Péguy'ego. Tym boleśniej dla Pétaina, że właśnie Karola Péguy, pisarza, katolika, bohatera, który oddał swoje życie za Francję podczas tamtej wojny, Pétain przybrał sobie za proroka. Kiedy on zarzucał Francję mistycznymi tekstami Péguy'ego, nagle pojawiły się nielegalnie rozprzeżstrzeniane inne wyjątki z pism tego pisarza. Zdało się, że to on sam z zaświatów odgryza się nimi tym wszystkim starcom, którzy chcieli na ziemi stroić z niego światobliwego dudka.

„Kraj — powiada Péguy — który powołuje i utrzymuje na najwyższych stanowiskach wojskowych i rządowych ludzi przeżartych aż do swego rdzenia jadem przegranej, mających w swoim instynkcie i zastarzałych obyczajach przegrana i ducha kapitulacji, lubujących się nimi, kraj taki sam wybiera przegrana i niejako sam powiada, że chce kapitulacji”.

Głosy żywych i głosy umarłych były wyraźne. I głosy te nie były oderwane od życia. Nie trzeba sądzić, by za nimi nie nadążała rzeczywistość. Katolicy liczą wielu męczenników, którzy zginęli w walce z okupantem. Męczenników i bohaterów. Wśród nich są księża i zakonnicy, seminarzyści i młodzieńcy działacze francuskiej Akcji Katolickiej. Organizacje, klerycy i biskupi, jak ks. Salières, biskup Tuluzy, który cudem uszedł z życiem mimo wielokrotnych ataków z kazalnicy na hitlerizm. A słynny ks. Henryk de Julliet! Profesor seminarium w Saint-Quentin, znawca i badacz wczesnochrześcijańskich pism apokryficznych, poza tym wielki specjalista i falsyfikator dowodów osobistych dla członków konspiracji. Prócz tego bardzo szczęśliwy i zręczny opiekun składu broni, którą miał rozdać i którą rozdał w dniu inwazji, aby wreszcie, wolny — skoro już nie miał dla kogo fabrykować dowodów i nie miał co przechowywać, bo arsenał był pusty — wyruszyć do swego oddziału maquillardów z Deux-Sèvres. I połączył się z nimi, tyle że jeszcze po drodze do swego oddziału przydał się innemu przy wysadzaniu w powietrze pociągu z niemieckim pułkiem artylerii. Następnego dnia miał spokój. Żadnych zajęć specjalnych. Toteż poszedł w pole ze swymi ludźmi. Z granatem w ręce prawej, z różańcem w lewej, zgodnie z ewangelicznym wskazaniem, które poucza o tym, że nie ma wiedzy lewica co czyni prawica.

W poprzednim artykule opowiadałem o tym, że Niemcy, z wyrachowania, w zasadzie ceremonialnie się z przedstawicielami intelektualnej elity francuskiej. Oczywiście do pewnej tylko granicy. Niepodległościowca, komunistę, Żyda — intelektualistę czy nie — czekała śmierć. Zwykła, nasza normalna niemiecka śmierć, jaką znaleźliśmy i u nas. Okrutna i poniżająca. Tyle że rzadsza niż u nas. Ale



PAUL CLAUDEL

równie bezwzględna. W sposobie i w wyborze. Ginęli ludzie z intelektualnych szczytów. Niemcy wtedy nie oglądali się.

Tak zginął Benjamin Crémieux, jeden z najwybitniejszych krytyków francuskich, członek zarządu francuskiego PEN-Clubu. On to na kongresie PEN-Clubów w Raguzie, na kilka lat przed wojną, spowodował, że sekcja krajowa pisarzy niemieckich musiała wystąpić z tej literackiej organizacji, która nadal w swoim łonie utrzymała sekcję niemieckich emigrantów. Po wejściu do Paryża, Niemcy zupełnie zrujnowali rewizjami i rekwizycjami paryski dom PEN-Clubu. Crémieux uszedł, ale po niejakiem czasie odnaleziono go. Zmarł w obozie koncentracyjnym.

W obozie zmarł również jeden z najśłynniejszych poetów francuskich — Max Jacob. Aresztowano go na południu Francji, w pobliżu franciszkańskiego klasztoru, przy którym mieszkał od wielu lat, oddany sprawom religijnym, w dosyć późnym wieku nawrócony z mozaizmu na katolicyzm. Aresztowany został ze względów rasowych. W kilka dni potem zachorował. Współwięźniami jego byli Żydzi. Jacob wiedział, że umiera. Myślał o swoim pogrzebie. O tym, że chciałby mieć pogrzeb katolicki. Zarazem rozumiał, że niezręczną jest rzeczą mówić o tym w tej sytuacji; prawie młodocierzą dopominać się i innym zwracać głowę takimi sprawami. Na chwilę przed swoją śmiercią uśmiechnął się i rzekł do kogoś ze swego otoczenia: „Przepraszam, że tyle o tym mówię, ale doprawdy katolicyzm to była moja jedyna życiowa pasja”.

Z pisarzy bardziej znanych wyliczę jeszcze zabitych, rozstrzelanych czy zamęczonych; poetę Saint-Pol-Roux, powieściopisarzy: Jean Prévosta, Louis Mandina, André Chennevière, zastrzelonego na ulicy przez niemieckiego żołnierza, który znalazł w jego kieszeni opaskę partyzancką. A wreszcie: Guy-Robert du Costala, Valentin Feldmana, aresztowanego i rozstrzelanego przez władze Vichy. On to na chwilę przed egzekucją spojrział na mających go rozstrzelać żołnierzy francuskich, wzruszył ramionami i rzekł: — „Idźcie, nawet im do głowy nie przychodzi, że człowiek za nich umiera!”

Cieźsze straty niż literatura poniosła podczas okupacji nauka francuska. A przede wszystkim uniwersytet sztrasburski. Wgrymany ze Strassburga, przeniesł się do Clermont Ferrand, do Francji nieokupowanej; nie dał się rozproszyć, trwał jako całość, żył wolą i nadzieją powrotu był jednym z centrów intelektualnego oporu. Kiedy w r. 42 Niemcy zajęli resztę Francji, zaarrestowali większość profesorów. Najście na lokal uniwersytetu odbyło się z nieznaną Francuzom brutalnością. Pobity wówczas prof. Colomb zmarł niebawem. O prof. Halbwachsie wspominałem już w poprzednim artykule. Z paryskich profesorów zmarli w obozie: Maspéro z Collège de France, Bruhat, Bloch, Navès, Cavallès, profesorowie Sorbony. Jednego z nich aresztowano podczas akcji ekspropriacyjnej. Kiedy na gestapo próbowano go zawstydzić, że będąc profesorem, i to Sorbony, nie wahał się dokonywać napadów z bronią w ręku — „jak bandyta” — odparł: „Czegóż panowie chcą! Jestem synem oficera i dziad mój również był oficerem!”

Zmarli podczas śledztwa, czy też bezpośrednio po nim — znamy wymowę tych słów — Georges Politzer, najwybitniejszy z teoretyków marksizmu francuskiego, Jacques Solomon, znakomity matematyk, zięć profesora Langevin, laureata nagrody Nobla. Również nie wyszedł żywy z badań śledczych Fernand Holweck, osobisty laborant Marii Curie-Skłodowskiej, a później kierownik prac laboratoryjnych Instytutu Radowego w Paryżu. Podczas badań chciano od niego uzyskać informacje dotyczące wynalazku Holwecka, który miał duże znaczenie dla celów wojennych.

Wspomnieć tu jeszcze chcę o jednej, na pozór naturalnej śmierci człowieka, który dosłownie zapracował się na śmierć dla konspiracji, jeżdżąc, przewożąc materiały, nawiązując kontakty i pośrednicząc między po-

szczególnymi grupami „toru. Miał do pewnego stopnia zadanie ułatwione, posiadając wszystkie przepustki i dokumenty. Był członkiem Akademii Francuskiej. Zmarł latem 43 r. To — Ludwik Gillet. Cało uszedł z życiem mimo nadzoru niemieckiego i nienawiści Niemców do siebie (książki jego były podczas okupacji na liście książek zakazanych), pełniąc oficjalnie funkcję sekretarza generalnego Akademii, spełniał nieoficjalnie jeszcze zaszczytniejszą funkcję: sekretarza generalnego literackiej prasy podziemnej, a raczej ministra finansów tej prasy, ze stu źródeł czerpiąc dla niej setki tysięcy franków.

Również cudem z licznych opresji uszedł Jean Cassou, coraz to pod innym aresztem, na przemian w rękach policji Vichy i policji niemieckiej. Na kilka dni przed wyzwoleniem Tuluzy, gdzie się pod sam koniec okupacji ukrywał, pobity przez policję pétainowską, nieprzytomny, porzucony na drodze pod miastem, po długich miesiącach dopiero powrócił do zdrowia.

Pisarzom sekundowali księgarze. Wydawcy, kolporterzy, drukarze. Zecerzy pism, książek, druków ulotnych. Pracownicy firm księgarskich. Od pierwszego dnia Niemcy zwrócili na drukarnie i na księgarnie uwagę. Zakazano w księgarniach sprzedawać, a w wypożyczalniach dawać ludziom do rąk książki takich autorów jak — prócz już wymienionego Duhamela — J. R. Bloch, J. Kessel, Aragon, Benda, Dorgèles, Istrati, Maurois, Claudel, Malraux i in. Zakaz obejmował oczywiście książki emigrantów niemieckich, autorów żydowskich oraz tłumaczenia wszystkich autorów angielskich z XIX i XX stulecia. Poza tym tłumaczenia autorów polskich, ze wszystkich stuleci. Nie wolno było również sprzedawać czy wypożyczać książek autorów francuskich, o ile to były książki poświęcone Żydom. Zatem żadnej biografii z Żydem w roli tytułowej.

No i oczywiście żadnej książki, broszurki, żadnego z tych wielu literackich pism nielegalnych. Mówiły one o ówczesnym losie Francuzów, budziły nadzieje na przyszłość, informowały o wszystkim co działo się w Europie. I o tym co się działo w Polsce również. W rzeczowych notatkach dziennikarskich i w wierszach, które poświęcano naszej sprawie i naszym cierpieniom.

Francja za okupacji dużo wiedziała o nas. Wiedziała i widziała. Niedawno w pewnym artykule omawiającym powieść młodej autorki francuskiej, w której występuje ukrywająca się i żyjąca w ciągłej obawie aresztowania Żydówka, przeczytałem te słowa: „Przeżyła jej są straszne, ale życiowo i psychologicznie nie dość zróżniczkowane. To by mogła być równie dobrze komunistka, konspiratorka, Polka jak Żydówka”. W malutkiej książeczce Arthura Waltona pt. „Prières Polonaises” znajduję takie zdanie: — „Kraj ten nadto cierpi, zamiera na jego ustach tchnie nie poezji”. Jest to aluzja do tego, że tomik Waltona wydrukowany został w zastępstwie początkowo zaprojektowanego innego tomiku. Wydawca bowiem — oczywiście było to wydawnictwo nielegalne — publikował we francuskim przekładzie z obcych języków różne zbiorki wierszy okupacyjnych. Wyszły już tomiki grecki, serbski, norweski i czeski. Materiałów do polskiego tomiku nie było. I wtedy polski tomik napisał Francuz. Kiedy jednak słynne „Editions de minuit”, najciekawsze z wydawnictw, a raczej z instytucji wydawniczych czy kolekcji wydawniczych czasów okupacyjnych, przystępowało do wydania antologii wierszy narodów cierpiących, wiersz polski nadszedł. Tomikiem tym zajmowali się Eluard i niezmordowana Edith Thomas, szlachetna i miła heroina całej tej niebezpiecznej a pod względem typograficznym prześlizniętej imprezy.

Pytałem o pochodzenie tego wiersza. Ale już nikt szczegółowo nie pamiętał, skąd się wiersz wziął. Zjawił się w ostatniej chwili i to dzięki sieci konspiracyjnej polskiej, cudownie i bardzo skomplikowanie zadzierzgniętej. Przybył z Niemiec. Z obozu koncentracyj-



GEORGES DUHAMEL

nego. Wiersz ten był drukowany kilkakrotnie. We Francji już wyzwolonej ponawiano nieraz wydawnictwa konspiracyjnych „Editions de minuit”. Między nimi książeczkę „Europe” gdzie został pierwszy raz wydrukowany ten wiersz polski. Z książeczki tej przeszedł do innych antologii. Z antologii do różnych szkiców o intelektualnym i artystycznym życiu Francji za czasów okupacji. Mimo to do dziś wiersz ten pozostaje anonimowy. Oto ten wiersz:

TOUT A GOUT DE CENDRE

Tout a gout de cendre chez nous,
Les cendres assaisonnent notre maigre soupe,
Nous les machons et remachons
Nos ruines et nos souvenirs.

Mais il y a temps pour les souvenirs
Et bien peu de temps, camarades,
Pour préparer demain.
Nos jours sont trop courts pour la lutte.

Il n'est deuil si cruel qui ne s'éclaircisse,
Larmes de pleureuses que la vengeance ne sèche,
Criminels qui ne rencontrent leur bourreau.
Nous fermerons l'horizon
Et déjà l'envahisseur tremble et s'inquiète
De ce gout de cendre qu'il a, lui aussi, dans la bouche.
Déjà l'envahisseur tremble et s'inquiète
Du masque de cendre posé sur le visage de la Pologne.

Camarades, tenez-vous prêts!
Nous arracherons le masque sombre,
Les temps de la Pologne sont proches
Et ceux de l'Allemagne sont déjà révolus!

Kiedy myślę o tym wierszu i słyszę o trudach i niebezpieczeństwach związanych z wydawnictwem, w którym został pomieszczony wiersz o tym, że może serca francuskich intelektualistów ścisłały się nie tak mocnym strachem jak nasze, bo Niemcy wciąż próbowali ich sobie pozyskać. Ale pamiętam również, że kiedy od tego pozyskiwania przechodzili do egzekwowania owoców swojej władzy, natrafiając na opór bez żadnych już względów zadawali śmierć naszym francuskim literackim kolegom; śmierć taką samą jak nam.

„Editions de minuit” jest kolekcją, w której wyszły 53 tomiki. Ten z wierszem polskim to jeden z ostatnich. Ale już po pierwszych i Aragon i Eluard i p. Edith Thomas i wiele innych osób, które zajmowały się zbieraniem materiału do tego wydawnictwa, drukiem i kolportażem, przekonało się, że za te tomiki płaci się nie tylko trudem, pracą i łęką, ale i krwią. Za druk i za kolportaż tych tomików zginęło kilku ludzi. A mimo to znaleźli się następni, którzy zdecydowali się składać i roznosić tomik z tym wierszem wydrukowanym powyżej. Zajmuje on tylko jedną kartkę w tomiku stustronicowym. A jednak ta karta wzrusza. I zbliża nas z ludźmi, którym mogła ciążyć i którym mogła grozić. Zbliża z ludźmi i zbliża z ich krajem. Choć to tylko drobny szczegół. A mimo to zbliża w jakiś szczególny sposób.

Tak samo jak w sposób najogólniejszy zbliża nas z nimi i ich krajem ta krew, ich i nasza, która z nich i z nas popłynęła w ciągu tych wspólnie przeżytych czasów pogardy i poniżenia.

Tadeusz Breza

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości 100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w maszynopisie na ręce jury.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia”:

Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Lempicki, Kazimierz Wyka.

Wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres redakcji »Odrodzenia«: Kraków, Basztowa 15, m. 8.

W poprzednim 25 (89) numerze „Odrodzenia” z dnia 23 czerwca: Konstanty Grzybowski: Próba dojrzałości politycznej. — Stefan Żółkiewski: Niecierpliwa retoryka. — Z Ogólnopolskiego Salonu w Warszawie (Eugeniusz Eibisch, Zbigniew Bronaszkowski). — Wacław Zawadzki: Od Monachium do drugiej wojny światowej. Jak min. Beck nie dopuścił do koalicji antyhitlerowskiej. — Antoni Czechow (przełożył Władysław Rymkiewicz, rysował Adam Marczyński): Kucharka wychodzi za mąż. — Stefan Papee: Katowice organizują życie naukowe na Śląsku. — Tadeusz Dobrowolski: Salon Wiosenny w Warszawie. — W pracowniach pisarzy i uczonych Ankieta „Odrodzenia”. (Aleksander Baumgarten, Bolesław Dudziński, Roman Kamiński, Narcyz Lubnicki, Władysław Tatkiewicz, Zdzisław Zyglowski). — Wacław Kubacki: „Obywatelu ministrze, jak panu idzie kinofikacja”? — Zbigniew Zyglowski: Powrót Kopenki. — Józef Sieradzki: Ślad na skale. — Jaszcz: Przegląd prasy. — Wn: Kronika francuska. — Stanisław Helżyński: Maurois o Anglii. — Irena Barrowa: Ameryka wczoraj i dziś. — Stefan Papee: Pozdrowienie Pomorza Zachodniego. — Charli (rys.): O nas w prasie zagranicznej. — 14 ilustracji. — 12 stron.

O mitologii i realizmie



rys. Jadwiga Umińska

JAN KOTT

Jan Kott. Mitologia i realizm. Kraków, „Czytelnik”, 1946; str. 166 i 2 nl.

W naszej ubogiej literaturze teoretycznej poświęconej zagadnieniom literacko-filozoficznym czy też literacko-społecznym (a ubóstwo to odnosi się nie tylko do czasów po ostatniej wojnie, kiedy posucha jest na razie zrozumiała, ale także do okresu międzywojennego) — książka Jana Kotta jest zjawiskiem doniosłym. Porusza ona sprawy, które są ośrodkiem sporów nie tylko ściśle literackich, ale także ideowych i światopoglądowych. Porusza je w sposób bystry i inteligentny. W związku z analizą twórczości pisarzy odległych od siebie nie tylko czasem ich działalności, ale także metodami artystycznymi (Tacyt, Stendhal, Conrad, Malraux), oświetla najważniejsze problemy naszej współczesności. Wojna obnażyła je bezlitośnie, zdarła niejedną maskę z fałszywych bóstw, ukazała podszewkę wielu uświęconych kłamstw, ale zasadnicze ich sprzeczności są jeszcze wciąż sprzecznościami naszej teraźniejszości. Nauczylimy się je tylko łatwiej rozeznawać. A umiejętna diagnoza jest pierwszym krokiem do wyleczenia. Kapitałnym przyczynkiem do takiej diagnozy chorobowego stanu naszej europejskiej kultury jest „Mitologia i realizm”.

Zasadniczy problem współczesnej literatury a także współczesnych prądów umysłowych widzi Kott — jak to zaznaczono jest w tytule — w konflikcie między postawą realistyczną a mitologiczną. Nowy realizm, który — wedle słów Kotta — „będzie prawdopodobnie znamieniem powstającej obecnie literatury”, będzie dążył „do odbudowania pojęcia człowieka, do pokazania jak naprawdę wygląda świat, jak żyją i jak powinni żyć ludzie”. Mitologizm natomiast to funkcja owych głębokich przemian społecznych i umysłowych, które dokonywały się na przełomie XIX i XX wieku i w latach między pierwszą a drugą wojną światową, a które doprowadziły do rozkładu wszystkich najbardziej podstawowych i zdawałoby się najwzruszonych elementów rzeczywistości poczynając od samego pojęcia materii w fizyce aż do osobowości człowieka w psychologii. Aby uratować rozpadającą się w oczach całość rzeczywistości, kreuje się — mit.

Zdaniem Kotta wyrazem tej mitologii był zarówno freudyzm jak i „wewnętrzna prawda” nadrealistowa, będąca „wiarą w samo życie, w biologię, w twórczą moc drzemających w naturze ludzkiej instynktów”. Mitologia był każdorazowy etap anarchicznej i rozkładającej myśli André Gide'a, czy była ona ucieleśniona w stojącym „poza dobrem i złem” Lafcadiu z „Lochów Watykanu” czy też w czasowym z „Komunizmie autora „Powrotu z ZSRR”, nie opartym na trzeźwej analizie stosunków społecznych, lecz będącym wyrazem „tesknoty człowieka stara się uporządkować wprowadzając pojęcie ślepego, bezlitosnego losu, z którym beznadziejnie walczą jego bohaterowie. Jest to przeniesienie „w dziedzinę pojęć etycznych przekonania o zasadniczej irracjonalności świata” i stąd płynię tragizm conradowskich, Postaci. Jaki sens społeczny kryje się za tym, wykazał już Upton Sinclair w znanym swoim szkicu o Conradzie, a i Kott nie zapomina o ukrytych w cieniu bohaterskich marynarzy Conrada „akcjonariuszach przedsiębiorstw Przewozowych, którzy czerpią zysk z cudzej pogardy śmierci”. Mitologizuje także Malraux, gdy nie mogąc wyrazić zgody na rzeczywistość stara się ją pokonać gotowością przyjęcia śmierci, gdy stwarza swoich tragicznych bohaterów, dla których rewolucja jest tylko środkiem zagłuszenia ich nieuniknionej samotności.

Dzisiaj, po doświadczeniach minionej wojny, widzimy, że wszystkie owe mity okazały się mniej lub więcej pomocnymi w rozpadnięciu największego piękła zniszczenia i zbrodni, jakie widział świat. I dlatego wiemy dziś, że

ocalenie możliwe jest tylko wtedy, „kiedy zamiast biologicznego świata narodzin i śmierci, zamiast samotnej ludzkiej jednostki poddanej niezmiennym prawom naturalnego porządku, dojrzymy świat historii, świat wartości, w którym naprawdę żyje człowiek”. Jest nim świat społeczny, dostępny poznaniu.

Nie idzie tu o streszczenie biegu myśli zawartych w tej zastanawiającej książce i nie jest to zresztą nawet w pełni możliwe. Urok tych szkiców leży w swobodzie i szerokim zasięgu myśli, która wędrując pomiędzy — nieraz na pozór bardzo od siebie odległymi — zjawiskami, potrafi w nich odnaleźć wspólny mianownik głęboko humanistycznego aspektu.

Ale są i zastrzeżenia. Ujęcia „realizmu” literackiego, tak jak je Kott formułuje, wydają się nie bardzo przekonujące i naukowa ścisłość tej definicji nasuwa poważne wątpliwości. Co to znaczy, „pokazanie jak naprawdę wygląda świat”? Lub co to za „świat wartości, w którym naprawdę żyje człowiek”? Nie trzeba być katastrofistą ani nadrealistą, dla których świat jest płynnym chaosem rozpaczliwie zdeorganizowanych części — aby jednak nie bardzo ufać owemu słowu „naprawdę”. Wiemy, że właśnie za tym słowem kryje się nierzadko — mit. Wiemy także, że każde wybitne dzieło literackie musi zawierać w sobie pewien ładunek „mitologiczny”, co więcej, że ten mit właśnie nadaje mu do pewnego stopnia znamię wielkości.

Cała literatura to w pewnym sensie mauzoleum mitów. Dzieło literackie jest tylko subiektywnie zorganizowanym fragmentem rzeczywistości, dowolnie wybraną i dowolnie wyreżyserowaną częścią całości i wielości zjawisk. Jest ono zawsze uproszczeniem i skrótem rzeczywistości, syntezą krzyżujących się nawzajem zmiennych i sprzecznych wewnętrznych jej nurtów. Czymże innym jest to wszystko, jeśli nie pewną formą — mitologizowania? Najgenialniejsze utwory literackie — które w dziejach literatury stoją jak ogromne słupy graniczne wyznaczające kierunek i zasięg rozwoju całych epok — są najczystszymi wcieleniem pewnej ogólnej sumy tęsknot tkwienych w społeczeństwie danego okresu historycznego i gospodarczego, a więc właśnie mitem. „Don Kichot” i „Faust”, „Don Juan” i „Wojna i pokój” to chyba „trwalsze od spizu” pomniki już nie tylko

literatury, ale i kultury europejskiej, w których tyleż jest „mitologii” ile „realizmu”.

Literatura katastroficzna uciekając od rzeczywistości, której się lękała, której nie rozumiała i przed którą chroniła się w świat mitów — była właśnie wskutek tego literaturą w pewnym sensie realistyczną, gdyż ujawniała bezlitośnie prawdziwy bezsens i fikcję swojego ograniczonego czasowo i klasowo świata schyłkowej kultury. Jest rzeczą charakterystyczną, że najwybitniejsze dzieła i nazwiska literatury doby międzywojennej należą do tego typu. Omawiani przez Kotta lub wymienieni przez niego nawiasem nadrealiści, Gide, Conrad, Malraux, Proust, Joyce, Tomasz Mann, z ewentualnym dodatkiem Céline'a i Kafki, to z największych niemal wszystko co mieszczańska literatura zachodniej Europy ze siebie wydała (nie wchodzimy w tej chwili w różnice między nimi, dzielące np. takiego T. Manna od Gide'a, Malraux od Céline'a). I kto wie, czy ten jedyny w swoim rodzaju literacki sabat demonów i demiurgów, mitów i zaklęć, fantastyki i groteski, świat „Czarodziejkiej góry”, „Zamku”, „Podróży do kresy nocy” — nie jest właśnie jedynym właściwym realizmem czasów bezsensu i czasów pogardy. Gdy realizm ma swoje zmienne i zależne formy. Inne być muszą formy realizmu początkowego, „bohaterackiego” okresu rozwoju mieszczaństwa, gdzie stosunki społeczne są jeszcze stosunkowo jasne i przejrzyste, linie podziału wyraźne, obraz wewnętrznych treści zwarty i spójny — a inne formy realizmu okresu upadku, gdy linie podziałów poczynają się gmatwać, konwencje się załamują i następuje „przewartościowanie wartości”.

Kott od niechcenia przeciwstawia „literaturze mitów” zdrową „literaturę realizmu”. Ale czyniąc to nie daje ani jednego przykładu takiej literatury czasów międzywojennych, lecz sięga do pierwszych dziesiątków XIX wieku — do Stendhala. Bo też gdybyśmy chcieli znaleźć przykłady takiego „klasycznego” — jak go nazywa Kott — realizmu w naszej współczesności, zdaje się, że na próżno byśmy go tam szukali. Czy będą nim ogromne cykle rodzinne Galsworthy'ego, Duhamela, du Garda czy wojenne powieści Arnolda Zweiga lub Remarque'a, wszędzie jest to już realizm — chciałoby się powiedzieć — skażony, zepsuty, zarażony bakcylem

mitu. Mitu-tesknoty za utraconym rajem dzieciństwa i przygody, mitu grozy wobec obzwiadającego, milczącego fatalizmu zniszczenia i klęski. Jednym z nielicznych w tym czasie przykładów czystego i spokojnego realizmu jest „Cichy Don” Szolochowa. Ale wyrasta on z zupełnie innego klimatu i innego układu społecznego. A o to właśnie chodzi.

Ale i z tym realizmem Stendhala sprawa nie jest taka prosta. Nawet i u Stendhala — jak u każdego realisty, jeżeli jest tylko prawdziwym i wielkim artystą — tkwi niezbędna porcja mitu (zgodźmy się na tę formę określenia, choć mogłoby ono być inne), która jest w wybitnym dziele sztuki nieunikniona. Ten Stendhal, o którego bohaterach Kott mówi, że „wyrażają prawa rozwoju społecznego”, a „losy ich... są ukute prawami historii” — wie także coś niecoś o owym tragicznym życiu, który nurtuje Conrada i Malraux. Oto co pisze Boy-Zeleński o „Czerwonym i czarnym”: „Wnosi ona dwie rzeczy dość rzadkie w literaturze francuskiej: jedna, to jakaś zasadniczo tragiczna koncepcja życia; druga, to — mimo że to dziwnie brzmi, kiedy się mówi o tym „pozytywiście” — w sposób osmąstowiczem — jakiś mistyczny dech wiejący z tego utworu. Może to wiew namiętności, której istota zawsze się gubi w mrokach tajemnicy?” („Nowe studia z literatury francuskiej”, str. 192-3). Mamy więc namiętność i mistycyzm, mroki i tajemnicę. Oto, także Stendhal, ten sam, który „wyraża prawa rozwoju społecznego”, Stendhal nie mniej prawdziwy i nie mniej realistyczny.

Bo nawet literatura realistyczna nie może unikać mitu, pewnej formy mitu. Tylko że mit ten powinien wynikać z prawdziwego układu sił społecznych i duchowych, winien wyrastać z wymiernego i sprawdzalnego obrazu rzeczywistości przetwarzanego, ale nie zniekształcanego przez mit. W rozległym świecie ludzkich marzeń i tęsknot jest miejsce także i na mit. Ale dziś zdajemy sobie sprawę z tego, że musi to być mit człowieka świadomego swej solidarności i związków z całością świata walczącego z bezsenssem, z barbarzyństwem i z kłamstwem w imię trwałych, humanistycznych wartości. Książka Jana Kotta tej świadomości uczy.

Henryk Vogler

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH

Ankieta »Odrodzenia«

Zofia Bronikowska: W najbliższych tygodniach powinna ukazać się moja książeczka (zbiór wierszy) dla dzieci pt. „Wiatr nastawia mikrofon”. Również w druku znajduje się opowieść dla dzieci „O Pieniżku-Wedrowniczku”. Obie książeczki są ilustrowane przez Janinę Jankowską-Małkowską.

Książeczka „O Małym Kaczorku na Wielkim Bałajorku”, ilustrowana przez Józefa Mroszczyka, ukazuje się, według zapewnienia wydawcy, w okresie „gwiazdkowym”.

Obecnie pracuję nad powieścią dla młodzieży, o nie ustalonym dotąd tytule.

Mam wiele planów na najbliższą przyszłość. Między innymi chcę zmierzyć marzenia na siły i napisać powieść dla dorosłych.

Przeszkadzają mi w tym wydawcy, zamawiając prace dla dzieci i młodzieży!

Wanda Brzeska: Wydaje tom wierszy wojennych pt. „Na stanowiącej się ziemi” (Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”), ale kiedy ten tomik ujrzy światło dzienne — Pan Bóg raczy wiedzieć.

Przygotowuję drugi zbiór wierszy z czasów okupacji i obozów pod pesymistycznym tytułem „Zaleń świat, oceanie”. O ile „Czytelnik” wyda mój pierwszy tom w przypisanym terminie, to nie jest wykluczone, że tytuł następnego zmieni się na pogodniejszy.

Próbuję zrekonstruować dwie powieści wojenne. Jedna dla dzieci o ptakach, druga pt. „Która godzina?”. Pierwsza — wykończona, druga — nie. Obie spalone.

Pracuję jako korektorka literacka w „Czytelniku” i zapewniłam, że to ciężki kawałek chleba. Zaden z profesorów uniwersytetu nie chce pisać poprawnie, a grafoman! znów — obrażają się.

Eugeniusz Brzeziński: Chciałbym wydać całość moich badań nad nowym typem psychofizycznym, skirytymia, z powodu jednak objętości tej pracy nie mogę tego uskuteczyć. Skróć jej ukazuje się w nr. 5 „Życia Nauki”.

Obecnie pracuję nad fenomenologią i charakterologią choroby umysłowej — schizofrenii. Podaję nowy aspekt fenomenologiczny, mówiąc także o typach normalnych tzw. schizotypiach.

Adolf Chybiński: Przepisuję i doprowadzam do ostatecznej formy drugi tom monografii o Mieczysławie Karłowiczu, ukończony w r. 1940 (tom pierwszy wydany w r. 1939). Mam nadzieję, że obydwą tomy wyda „Czytelnik”. Praca nad III tomem, poświęconym wyłącznie twórczości M. Karłowicza, posuwa się bardzo powoli naprzód.

Dla Polskiego Wydawnictwa Muzycznego przygotowuję na wniosek Państwowej Rady Muzycznej Wydawniczej opracowanie „Polskiego śpiewnika krajowonawczego”, mającego dać „przekrój” polskiej pieśni ludowej — zadanie daleko trudniejsze obecnie do wykonania, niż początkowo mogłem przypuszczać.

Dla tegoż Wydawnictwa Muzycznego opracowuję „Analizy i objaśnienia dzieł Fryderyka Chopina”, dzieło zbiorowe, zainicjowane przeze mnie w r. 1943, mające ukazać się w czterech tomach w r. 1949 (setna rocznica śmierci Chopina). Pracuję nad nim kilku muzykologów polskich w kraju i za granicą. Mam na ukończeniu analityczne opracowanie scherz, impromptu i walców Chopina. Trudy redakcyjne całości tego wydawnictwa wzięłam na siebie.

„Do wzięcia” jest „Słownik muzykologów staropolskich” (do pocz. XIX w.), ukończony w zasadzie w r. 1942, obejmujący około 2400 pozycji (nazwisk), liczący w maszynopisie około 250 stron i przynależący ponad 1000 nazwisk nieznanych dotąd muzyków dawnej Polski, owoc przeszło 30-letniej pracy nad gromadzeniem materiałów leksykalnych w wielu bibliotekach i archiwach.

Podczas rocznego pobytu w Zakopanem (1944/45) rozpoznałem dzięki bardzo zasobnej bibliotece Mu-

zeum Tatrzańkiego i ofiarnej pomocy dyr. Juliusza Zborowskiego, pracę wielkich rozmiarów o tańcach ludu polskiego (dla Polskiego Wydawnictwa Muzycznego). Tempo pracy było chyba szybsze niż odwrót Niemców z Zakopanego. Po opuszczeniu Zakopanego odczułem od razu brak potrzebnych do mej pracy zbiorów etnograficznych. Rezultatem było znaczne zwolnienie tempa pracy.

Pragnąłbym ukończyć nareszcie kilka prac odnoszących się do etnografii muzycznej Podhala i Orawy: a więc opracować nowe wydanie „Instrumentów muzycznych ludu polskiego na Podhalu” (I wydanie w r. 1924, o które upomniał się od szeregu lat Muzeum Tatrzańskie i kilku sowieckich muzykologów — dokończył rozpoczętą w r. 1943 pracę o melodiach ludowych Orawy, a wreszcie poddać ponownie (ostatnie?) rewizji dawno już ukończoną, bardzo obszerną monografię ludowej muzyki na Podhalu (z dodatkami nutowym ok. 750 melodii i ich wariantów).

Redakcji „Ruchu Muzycznego” wręczyłem rzecz na pół literacką, na pół muzykologiczną (i cokolwiek sentymentalną) pt. „O nieznanym (spalonym) notatniku zakopiańskim Karola Szymanowskiego” (z kilkoma podobiznami fotograficznymi).

Nie wiem, czy i kiedy — wobec trudności powojennych dla pracy historycznej — uda mi się dokończyć kilka rozdziałów w dawno już przygotowanym tomie pt. „Studia nad polskim barokiem muzycznym” (XVII—XVIII w.: studia o M. Mielczewskim, J. Różyckim, S. S. Szaryńskim, G. G. Gorczyckim, P. Damianie i W. Maxyliczku).

Wiele bardzo czasu zajmują mi prace uniwersyteckie w Poznaniu, a przede wszystkim organizacja Zakładu Muzykologicznego U. P., który mimo wielkich braków i trudności różnego rodzaju powinien od nowego roku akademickiego funkcjonować tak, jak na to zasługują moi pełni powagi i zapału studenci. Mam też nadzieję, że po otrzymaniu mieszkania tempo moich prac znacznie się ożywi. Pomysł wówczas i o — „Odrodzeniu”.

Aleksander Kornel Dobrowolski: Gdy w czasie okupacji nerwy pod wpływem łapanek, rewizji i aresztowań były naprężone do najwyższych granic, powstała we mnie dziwna reakcja, niby bunt przeciw temu wszystkiemu. Napisałem bowiem w 1944 r. pogodną, wesołą powieść pt. „Zawalnia”. Trochę śmiechu — myślałem — przysła się wśród tych okropności, czego wyrazem były także listy, w społeczeństwie polskim krążące dowcipy wojenne.

Po odzyskaniu wolności napisałem powieść obyczajową „Jak spłoszony ptak”, której akcja w pierwszej części rozgrywa się przed wojną, mając za tło konflikt sercowy młodego człowieka. W drugiej części dramat podbitego narodu przytłumia tragedię osobistą. Poprzez konspirację, obóz koncentracyjny i krakowski wypadek wojenny następuje wyzwalanie obu powyższych dramatów z uwzględnieniem współczesnej realnej rzeczywistości.

Rękopisy obu powyższych prac są w czytaniu u krytyków pewnego wydawnictwa, które zdecydowało o druku.

W opracowaniu mam znów wesołą powieść „Grubasek”. Uważam, że w powodzi krwawych historii okupacyjnych taki zastrzyk humoru i pogody może wpłynąć dodatnio na odprężenie norwów w moim powiedzeniu: śmiech, to zdrowie.

W przyszłości mam zamiar napisać powieść psychologiczną na tle przemian nastrojów i pojęć w związku z dokonaną bezkrwawą rewolucją.

Emil Piotr Erlich: Pracuję obecnie nad podręcznikiem organizacji i techniki kontroli finansowej. „Książnica-Atlas” wyda w tym roku moją „Organizację obrotu gospodarczego” — podręcznik przeznaczony dla szkół wyższych.

W czasie okupacji napisałem pracę o strukturze handlu zagranicznego. Niestety nie przewidziałem w latach 1942—43, że Szczecin będzie należał do Polski, jakkolwiek przewidziałem, że konieczne będą poważne ustępstwa terytorialne na rzecz

Związku Radzieckiego. Muszę więc obecnie poddać tę pracę gruntownej przeróbce a później poszukam wydawcy.

Bronisław Kamiński: Po sześcioletnim prawie pobycie w obozie koncentracyjnym, przez długi czas nie mogłem odsukać w sobie człowieka zdolnego do twórczości, niemniej po paru miesiącach zaczęłem odgrzebywać dawne projekty. Pierwszym znakiem powrotu do życia było odtworzenie pisanej przed wojną krótkiej powieści eksperymentalnej pod tytułem „Lunapark Don Kijota”, następnie zebrałem z pamięci cały szereg wierszy pisanych w obozie i ułożyłem je w tomik „Z Innej strony”. Najważniejszą jednak pracą, jaką wykonałem w ostatnim roku, to napisanie powieści „Poszukiwanie”. Projekt jej dreczył mnie przez cały okres mojej niewoli. Jest w niej synteza rzeczywistości przedwojennej, wojennej i powojennej. Poza tym właśnie wychodzi z druku tom moich bajek dla dzieci z ilustracjami wybijającego się w Paryżu malarza Ludwika Klimka. W przyszłym miesiącu ukazuje się przekład francuski moich bajek i powieści. Obecnie opracowuję szereg opowiadań dla tygodników francuskich.

Włodzimierz Mikułowski: Oddałem do druku następujące prace: 1) Badania doświadczalne nad rolą witaminy C w przebiegu gruźlicy u świnki morskiej. 2) Recherches expérimentales sur les besoins en vitamine C chez les enfants au cours de la diphtérie. 3) Recherches histopathologiques sur le rôle de la vitamine C au cours de l'intoxication diphtérique chez les cobayes. 4) Złotačka noworodków a problem alergii. 5) O biologicznych metodach leczenia koklusu. 6) O znaczeniu witamin dla rozwoju i zdrowia niemowląt. 7) O odrochu Mora u noworodka. 8) O odrochu Galanta u noworodka. 9) O problemie medycyny szkolnej w Polsce. 10) Szlakiem krytyki i obserwacji lekarskiej (700 str.). 11) Klinika koklusu (monografia — 500 str.). 12) Refleksje lekarza przy lekturze Szekspira. 13) O zaburzeniach metabolizmu wodnego w klinice dziecka. 14) O roli aeracji w zapobieganiu i w leczeniu chorób dziecięcych. 15) Dotychczasowe doświadczenia nad penicyliną w klinice dziecka. 16) Przyczynki do kliniki porażenia dziecięcego (choroba Heine Medina). 17) Problem infantylizmów w klinice dziecka. 18) Przypadki beriberi nostras w klinice dziecka.

Pracuję nad kliniką gruźlicy dziecięcej, nad zagadnieniem profilaktyki zakaźnej w pediatrii i przygotowuję do druku zbiór przyczynków na te tematy.

Michał Sabatowicz: Zaabsorbowany pracą dziennikarską, siłą rzeczy wszystkim moim obecnym pracem (nie wyłączając satyr i wierszy) nadaje charakter raczej publicystyczny. Przygotowuję do druku powieść współczesną pt. „Nieprzekroczone proggi”, której fragment był drukowany w „Gazecie Robotniczej” (rok 1945). Również mam w tece, nieomalże na ukończeniu, obraz sceniczny w trzech odsłonach pt. „Lęk”. Tak jedna, jak i druga rzecz jest przekrojem lat okupacyjnych.

Przygotowałem również do druku cztery tomiki wierszy lirycznych pt. „Serce rubinowe”, „Krwawa droga”, „Na ulicy” i „Słowa wieczorne”.

Niektóre wiersze z tych zbiorów, z podtytułami: „Sybirskie notatki”, „Drzewa”, „Czarne horyzonty” i „Tory przemian”, drukowałem w prasie codziennej lub czytałem w swoich radiowych kwadransach literackich.

Po wykończeniu i wydaniu wyżej wymienionych prac pragnąłbym wrócić do przedwojennej działalności literackiej, światlicowej-teatralnej, przez uzupełnione i rozszerzone powtórzenie wyzerpanych już dziś moich wydań przedwojennych.

Przygotowałem do druku popularny cykl rolniczy dla młodzieży ujęty w formę wierszową, lir-

Uzupełniam również zbiór tłumaczeń poetów radeckich.

*) Por. odpowiedzi w nr. nr. 68—82 „Odrodzenia”.

Zbuntowany hrabia

Nazwiskiem Ksawerego Branickiego zainteresowałem się bliżej dopiero niedawno. Omawiając poglądy i działalność socjalistyczną Mickiewicza z okazji 90-lecia jego zgonu podkreślono, że lewicowa w swej intencji „Trybuna Ludów” pod redakcją Mickiewicza była finansowana przez hr. Branickiego. Kim był ów magnat, hrabia popierający szerzenie idei socjalistycznej?

Na próżno szukać jego imienia w encyklopedii Orgelbranda czy u Trzaski, Everta, Michałskiego lub u Gutenberga. Począłem szukać na własną rękę. Oto wyniki poszukiwań:

W czasie kiedy kochankiem Katarzyny II był Sałtykow, powiła caryca córkę, którą nazywano Aleksandrą Engelhart. Aleksandra wyszła za hełmana Ksawerego Branickiego i zrodziła mu córkę Elżbietę, późniejszą żonę hr. Woroncowa, wielkorządcy Noworosji, i synów: Władysława i Aleksandra. Synem Władysława był hr. Ksawery Branicki.

Miał więc w sobie krew carów rosyjskich. po kądzieli był wnukiem Szczęsnego Potockiego, a spokrewniony był ze szczytami arystokracji. Był właścicielem olbrzymich dóbr w Rosji i krezusowego majątku we Francji, gdzie mieszkał, a mimo to porwany został przez szerzące się w połowie w. XIX prądy demokratyczne i wolnościowe. Wszedł w stosunki z Cicerovaehiem i Włochem z Transteweru, przywódcą ludu włoskiego w manifestacjach wolnościowych, i z Prudhomme.

Kiedy Mickiewicz przybył w roku wiosny ludów do Rzymu, by zawiązać legion bojowników o wolność Polski, pomógł mu jedynie Branicki. „Żaden z naszych magnatów tu obecnych nie rozumie Mickiewicza — pisał jeden z towarzyszy poety — z wyjątkiem Branickiego, u którego ma wzięcie, nie podobna żadnego z nich poruszyć. Obawa przed nieznanem i troska o kapitały pochłaniają ich całkowicie. Zechcą nam pomagać dopiero wówczas, gdy nasze własne wysiłki pozwolą nam obejść się bez nich” (Wł. Mickiewicz, „Legion Mickiewicza”).

Gdy szło o zorganizowanie ochotników polskich we Francji i przesłanie ich do Włoch, dla Legionu Polskiego, „ofiarność hr. Ksawerego Branickiego pozwoliła Mickiewiczowi podołać wszystkim wymaganiom chwili. Ksawery Branicki, dowiedziawszy się w Niemczech, że Mickiewicz powraca do Francji, odstąpił od myśli udania się do Mediolanu i pośpieszył do Paryża, aby oświadczyć Adamowi, że kosztą zbrojenia i wyprawienia ochotników bierze na siebie” (Wł. Mickiewicz, „Żywot A. Mickiewicza”, t. IV). Ksawery Branicki złożył Adamowi Mickiewiczowi 200 000 franków do dyspozycji na rzecz Legionu. Setki tysięcy włożył w dziennik francuski „La Tribune des peuples”, który był poświęcony pomocy narodom walczącym o wolność. a na którego czele stał Adam Mickiewicz. Ta działalność czerwonego hrabiego nie była w smak magnatom i dworom carskiemu.

„Gdy prawdziwi przyjaciele, a między tymi Zamoyski i Tadeusz Walewski, przestrzegali go, że tak jawnie wdając się w wicherzycielami naraża swój majątek i osobę u rządu rosyjskiego, odpowiadał: „To niech zabierają. Jak przyszło do domu, tak niech idzie, mnie to bogactwo pali ręce i czoło” (Budziński, „Pamiętniki z mojego życia”). Paliły mu ręce majątki zdobyte różnymi sposobami przez dziada hetmana-targowiczana. I rzeczywiście ambasada rosyjska wezwała Branickiego do Petersburga, by wytrzymał się przed carem i jako poddany rosyjski i jako b. kapitan gwardii carskiej. Hrabia odmówił wyjazdu do Petersburga, a co do olbrzymich swych majątków w Rosji, to sprawę tę pozostawił woli carskiej. „Małe parta — pójdzcie do czarta” — powiedział. I dobra Ksawerego Branickiego w Rosji zostały skonfiskowane przez cara.

Kiedy wybuchła wojna krymska, z którą Polacy wzięli nadzieję oswożenia i Adam Mickiewicz podążył na wschód dla zorganizowania nowych legionów do walki o wolność, wówczas „poza nieszukaną tą, a bezkorzystną negocjacją z hotelem Lambert, starał się Wysocki zbliżyć i porozumieć z ludźmi posiadającymi rzeczywistą wartość... (i wtedy) Ksawery Branicki zobowiązał się w sprawie tak ważnej otworzyć dla Wysockiego zamki szkatuły swojej” (Zygmunt Miłkowski, „Udział Polaków w wojnie wschodniej”).

Kiedy w związku z tą wojną udał się dowódca wojsk francuskich w wojnie krymskiej, książę Napoleon, gorący orędownik sprawy polskiej, na wschód, przybył tam za nim i Ksawery Branicki. Mimo, że jako człowiek liberalny i bojownik o wolność narodów był namiętnym przeciwnikiem bonapartystów, starał się wszystkie swe wpływy wyzyskać dla sprawy Polski. I rzeczywiście, na radzie wojennej w Warnie, gdzie postanowiono wyprawy na Krym, proponował ks. Napoleon rozpoczęcie wojny przez wkroczenie do Polski drogą prowincji naddunajskiej i Besarabii (Wł. Mickiewicz, „Pamiętniki”, t. II). W istocie nic pozytywnego ani konkretnego nie wynikało dla sprawy polskiej z wojny krymskiej. Branicki nie zafamał się jednak i nie zwątpił. Z wybuchem powstania styczniowego wyznaczył Komitet Centralny Warszawski

Ksawerego Branickiego do Polskiego Komitetu Narodowego na Emigracji Francuskiej. I znów Branicki zaoferował majątki na rzecz powstania. Ba, miał nawet fantastyczny plan zorganizowania legionu ochotników francuskich, którzy by w mundurach francuskich, pod jego dowództwem, wyprawili się na Litwę, by tam walczyć z caratem.

Powstanie styczniowe nie udało się. Wybuchła wojna prusko-francuska. „Pierwszą myślą emigracji było utworzenie legionu polskiego. Ksawery Branicki ofiarował ponieść kosztą umundurowania i uzbrojenia... w czasie wojny z Prusakami Ksawery Branicki pół miliona franków ofiarował na rannych” (Wł. Mickiewicz, „Emigracja polska 1860—1890”).

Dlaczego więc człowiek tak zasłużony dla sprawy polskiej nie zdobył dla swej osoby choćby kilku wierszy w polskich encyklopediach?

Jako człowiek pozbawiony wszelkich przesądów i mąż wolnej myśli, był Ksawery Branicki przyczyną zmartwień w świecie arystokracji polskiej, z którą był spokrewniony i pod której wpływem pozostawały redakcje polskich encyklopedii. Pewną scenę takiego skandalu w świecie arystokracji z Branickim opisuje Budziński w swych pamiętnikach.

„Jednego poranku, mimowolnie świadkiem byłem sceny bolesnej między Zygmuntem Krasieńskim, a jego szwagrem Ksawerem Branickim. W żywym sporze weszli oba do p. Zamoyskiego. — Niech osądzi Zamoyski — wołał w gniewie Branicki i prowadził za rękę Zygmunta. — Pułkowniku — zwracając się do Zamoyskiego — powiedz czy przystoi, aby Krasieński mnie zawsze nisko stawiał i jak nad studentem chciał górować imponując

swoją? Ja poezji nie piszę, ale przecież znam moje obowiązki i Polskę kocham jak on. — O cóż wam chodzi? — zmiłujcie się — zapytał Zamoyski. — Ksawery zawsze szalony — mówił spokojnie Krasieński — wchodzi w stosunki z Cicerovaehiem i kompromituje na próżno swoją osobę i majątek. Czyliż to sposób służenia Polsce, wdawać się z przywódcą motłochu obcego narodu! — Ja robię jak rozumie, dość, że moje chęci są tak dobre jak i wasze”.

W innym skandalu w świecie arystokracji uczestniczył Branicki razem z Matejką. Kiedy Matejko namalował obraz sejm grodzieńskiego z hetmanem Branickim i Szczęsnym Potockim i chciał go posłać na wystawę do Paryża, Konstancja Wyleżyńska napisała list do Branickiego, by nabył obraz ten, okrywający hańbą magnaterię polską, zniszczył go lub schował. Branicki, czując się sam czystym człowiekiem, który nie może ponosić odpowiedzialności za czyny przodków, odmówił, „gdyż nie wypada, aby on Montezor (jego zamek) ozdabiał, spalić zaś dzieło sztuki uważam za czyn wandalia”. Przybył wówczas do niego Władysław Zamoyski, by Branicki ublażał Napoleonowi III, aby ten nie zezwolił na dopuszczenie obrazu Matejki na wystawę. „Zaśmiały się wręcz mu odmówiłem, jako nie podzielaający jego zdanie. Wtedy mi w odpowiedzi dodał, iż wystawa ta byłaby obrazą monarszego majestatu Hotelu Lambert. Na to ścisnawszy ramionami rzekłem, ile pomnę dosłownie: Szanowny Jenerale! I charakter i wytrwałość Waszą wielce poważam, lecz co do urojonej królewskości, chociaż stronictwa emigracyjne dla mnie obojętne, myślę, że, wedle mego zdania, była zawsze szkodliwą jak

bezasadną, a poważnego ks. Adama śmiesznością okryła” (Wstęp do „Bramy pokuty”). By zaś podkreślić swój wrogi stosunek do caryzmu, napisał Branicki do Matejki, w związku z oglądaniem obrazu sejm grodzieńskiego, że on, Branicki, chciałby mieć inny obraz w tym rodzaju, przedstawiający śmierć cara Pawła (wiadomo: zamordowanego).

Te skandale w świecie arystokracji, wynikające z zachowania się Branickiego, były jednak niczym wobec tego, co miało nastąpić. Uważając, że kłosa historii toczą się w kierunku zbratania narodów, pragnął Branicki wziąć udział w dziele przyświeśnienia tego państwa historycznego. „Wynalezienie prochu druku, busoli, spowodoowało i dopomogło zniszczeniu feudalności, odkryciu Ameryki i reformie religijnej. W naszym, XIX w., para, elektryczność, dynamity, żegluga parostatkami, koleje żelazne, telegrafy, telefon itp. wynalazki dążą do zbliżenia różnorodnych ludów... W ciągu lub przy końcu XX w. zapewne po walkach i wstrząśnieniach, Europa zamieni się w wielką federację czyli Zjednoczone Stany Europejskie. Nie podobna, aby te przemiany nie wywarły wpływu swego i na kwestie religijne” (wstęp do „Kol-Kore”). Branicki chciał współpracować w zbliżeniu religii chrześcijańskiej i żydowskiej. Wydał więc w r. 1879 w polskim tłumaczeniu dzieło Eliasza Sołoweyczyka pt. „Kol-Kore” (tj. „Vox clamantis”), w którym autor wykazuje, że i Talmud i Ewangelia, oba dzieła, opierające się na podstawach Starego Testamentu, mają wspólne zasady i idee, wspólne myśli i nauki i winny nie dzielić, ale łączyć oba społeczeństwa.

Przekład tego dzieła poświęcił Branicki swemu siostrzanowi, prałatowi Włodzimierzowi Czackiemu i rozesłał go koryfeuszom myśli polskiej. Wśród arystokracji zawrzało. Katarzyna Potocka i Zofia Wodzicka ostro skarżyły Branickiego listownie za tłumaczenie i wydanie dzieła w duchu talmudu.

Stanisław Tarnowski, który był spowinowacony z Ksawerem Branickim, przez żonę swą, synovicę Ksawerego, Różę Branicką, otrzymał też „Kol-Kore”, z prośbą o recenzję w „Przeglądzie Polskim”, redagowanym przez Tarnowskiego. Tarnowski odmówił, gdyż porozumiewał się z rodziną Branickiego, otrzymał radę, by przemilczał tę książkę. Wkrótce ukazała się jednak w „Przeglądzie” recenzja tej książki, podpisana „Dr. P. z Rzymu”, pełna antysemitycznych akcentów. Pominęto jednak w recenzji nazwisko tłumacza, gdyż wówczas — jak pisał Tarnowski w liście prywatnym do Branickiego — „osobom należącym do rodziny Pana Hrabiego, nie było one (umieszczenie recenzji) przykrym”. Nie chciał też Tarnowski ogłosić listu Branickiego w związku z tą recenzją, by to nie przyczyniło się do „rozmażania sprawy”... „wiedząc — pisał Tarnowski — jaką to byłoby przykrością dla osób, którym... i J. Wielmożny Pan i ja powinniśmy oszczędzać, a nie dodawać przykrości”.

Branicki nie dał za wygraną. W tym samym roku wydał polski przekład hebrajskiego dzieła Schossburga „Brama pokuty”, który poświęcił właśnie Stanisławowi hr. Tarnowskiemu. Do tłumaczenia załączył wstęp, w którym — zalaćwając swoje porachunki ze średniowiecznym światopoglądem arystokracji — opublikował między innymi i swą korespondencję z Tarnowskim w sprawie „Kol-Kore”. Ośmieszał z ironią przestarzałe, głupie poglądy w sprawie żydowskiej. „Godną zadziwienia jest rzeczą — pisał — iż rodziny, które początek swój od Żydów ciągną... najbardziej na Żydach psy wieszają. Gdy zaś rysy twarzy wschodnie pochodzenie zdradzają, wtedy na koligację z Ormianami całą winę się składa”. Inaczej zachowują się wielcy duchem. I Branicki powiedział słowa, które stały się kością niezgody wśród historyków literatury i genealogów, w kwestii krwi semickiej w żyłach Mickiewicza: „Adam Mickiewicz, z którym byłem w ścisłej zażyłości, często mawiał: Mój ojciec z Mazurów, matka moja Majewska z wychrztów, jestem więc na wpół Lechita na wpół Izraelita i tym się szczycę”.

Wszystko to i inne jeszcze sprawy, odwołujące oblicze śmiesznej w swych przestępstwach już wówczas poglądach szlachty, odsłonił Branicki. Skandal. I zrobił to ktoś ze swoich. Jakby wsadził kij w mrowisko. Wódz brzoźników, prof. Tarnowski, pierwszy oprzytomniał i zorganizował wykupywanie i niszczenie „Bramy pokuty”. Książka ta jest dziś białym krukiem. A nazwiska Ksawerego Branickiego nie znajdziesz ani w encyklopedii Orgelbranda, ani u Trzaski, Everta, Michałskiego ani u Gutenberga. Jedynie w „Słowniku Biograficznym” Polskiej Akademii Umiejętności poświęcił mu artykuł A. Lewak

Marek Bosak

Dr Prot Sowizdrzał i słonina

Sprawozdawca literacki „Gazety Ludowej” (z dnia 9 czerwca br.) wyrządził dr. Protowi Sowizdrzałowi krzywdę, nietaktownie odsądzać go od obywatelstwa ziemskiego, a równocześnie niżej podpisanemu zrobił ten zaszczyt, że przypisał mu nie tylko myśli i poglądy dr. Sowizdrzała, ale po prostu utożsamiał ich obu. Bardzo mi to pocholebia, bo chętnie bym widział w sobie niektóre powaby umysłowości tego człowieka, memu pióru zaś niewątpliwie bardzo by się przydały pewne zalety stylu dr. Sowizdrzała. Niestety, częstsze bywają wypadki rozdwojenia, jaźni, niż łączenia się dwu różnych osobników w jedno indywiduum.

Dr Prot Sowizdrzał nie jest urojoną postacią, jak sądzi krytyk, ani pozycją martwą, jak mi się wydawało. Po ogłoszeniu moich wspomnień o rozmowach z dr. Sowizdrzałem otrzymałem parę listów, prostujących wiadomość o śmierci oryginała. Okazuje się, że zabawny ten człowiek zadzwonił sobie z samej śmierci. Prawdopodobnie zmylił czujność kostiumu w decydującej chwili, opowiedziawszy jej ze swych zbiorów parę śmiesznych historyjek na temat sławnych przedwczesnych i pozornych zgonów i żyje sobie najspokojniej dalej, jakby w ogóle nigdy z nim krucho nie było.

Mógłbym nie brać pod uwagę głosów tych korespondentów, którzy piszą, że ponieważ „Tygodnik Powszechny” nie umieścił dotąd dr. Protę Sowizdrzała na liście stracił kultury polskiej, więc „z tego niedwuznacznie wynika, iż on chyba jeszcze żyje”. Nie mogę jednak lekceważyć informacji Stefana Flukowskiego, któremu jakiś kolega obozowy doniósł z Dolnego Śląska, że dr. Prot Sowizdrzał przebywa w jednym z tamtejszych domów wypoczynkowych, miewa się dobrze, a co więcej proponuje autorowi „Jajka Kolumba” spółkę pisarską w celu stworzenia syntetycznego misterium pt. „Jajko Ledy w proszku”. Julian Przyboś znów zawiadomił mnie, że powinien mieć gdzieś w papierach podobiznę dr. Sowizdrzała, wykonaną przez jednego ze współczesnych malarzy polskich i obiecał rychno ją wyszukać. Tyle co do istnienia dr. Protę Sowizdrzała.

Współpracownik „Gazety Ludowej” podjął również polemikę na temat materializmu. Krytykując wypowiedzi dr. Protę Sowizdrzała, który pochwalał, nie wiadomo serio czy żartem, filozofię życiową Sanczo Pansy, wyraził się obrazowo, po gospodarsku, że gdyby rację miał dr. Sowizdrzał, to trzeba by przyjąć, że Stefan Żółtkiewski pożera całe poście słoniny, aby utrzymać na należyłym poziomie swą metodologię.

Domysły poprzednie nie miały żadnych podstaw. Natomiast hipotezę, wyjaśniającą stanowisko ideologiczne redaktora „Kuznicy” ilością spożywanego tłuszczu bydłowego, uważam za trafną. Jest bowiem sekretem publicznym, że Żółtkiewski opływa w maśle i sprwadza sobie miesięcznie z Rosji ładnych kilka pudów „sała”. Kiedy poznałem go przed wojną, zęby ostrzył sobie na „Wstępie” Kridla. Ponieważ jednak formalizm Kridla był chudy i mało pożywny, jak uparcie twierdzą, nie tedy dziwnego, że krytyk obecnie woli gaskać Kridla, a gryźć wędzonkę. Parę lat wo-

jennego głodowania inteligencji polskiej wiele tłumaczy.

Zawadziłem niedawno o Łódź i jadłem podwiczerek u Żółtkiewskiego, więc mogę coś nie coś o tym powiedzieć. Pani domu podała nam na półmisku potężne kawały słoniny. Redaktor „Kuznicy” smarował swój poleć grubo masłem, masło pokrywał warstwą kawioru astrachańskiego, a na to wszystkie nakładał jeszcze jam morelowy. Poprzedniego dnia otrzymał właśnie samolotem deputat żywnościowy z Moskwy. Dzień był upalny, więc zapiliśmy dary boże kwaśną śmietaną, pochodzącą z całkowicie zmechanizowanego majątku rolnego (lekką nawet pachniała, jak mi się zdawało, smarami).

Trochę mnie dziwiły owe pleonazmy, hyperbole i oksymerona kulinarne. Wszedłszy przecież między wrony, pokraakałem sobie raz jak one, zwłaszcza, że dzięki roztropnym normom uposażeniowym, przewidzianym przez państwo dla inteligencji pracującej, mam żółderek chwała Bogu zdrowy. Później wytłumaczył mi Staś Piętaś, że wszyscy łódzcy literaci sadzą się na różne karkołomne zestawienia potraw od czasu, jak dowiedzieli się z sensacyjnych komentarzy „Książki” do „Pana Tadeusza”, że wszelkie możliwe miszkulancje i ekstrawagancje były właściwością kuchni staropolskiej i że celowało w nich szczególnie sławne Soplicowo.

Zrozumiałe, że takie szaleństwa nie idą nikomu na zdrowie. Żółtkiewski swoje poście słoniny już przypłacił ciężkim katarem żółdka i owróżdzeniem kiszki, czy na odwrót. Widząc zaś nieboraczkę, że już mu niewiele czasu zostało do chrupania słoninki na tym najlepszym z empirycznych padolów, zaczął się napychać tłustościami ze wzmóżoną łapczywością. Agenci skupują mu sado na rynkach łódzkich rzekomo dla celów redakcyjnych. Tymczasem śmiało można stwierdzić, że tylko skrawki tego sadła przetapia się w „Kuznicy”, aby je zalewać za skórę paru „nieukom” spoza terenu łódzkiego. Okazy nieuczta miejscowego bujają swobodnie po prostu dlatego, że gros tego redakcyjnego sadła idzie na forsowne odżywianie naczelnego redaktora.

Organizm broni się rozpaczliwie, sygnalizując nadużycia kolkami. Po całych dniach redaktor „Kuznicy” ma czkawkę i cierpi na napady nudności. W takich chwilach koncipuje zwykle jakąś interpelację do ministra oświaty lub list otwarty do redaktora „Odrodzenia”. To mu najczęściej przynosi pewną ulgę — powoli odzyskuje równowagę ducha, dobry pikniczny humor i werwę semantyczną.

Cóż, kiedy natura ciągnie wilka do jatki! Jak tylko mu się trochę poprawi, natychmiast posyła woźnego po boczek (że to niby trochę chudsze jado i mniej szkodliwe), i sekretarkę po lody pistacjowe z fistaszkami albo fistaszkowe z pistacjami. Jeśli zaś wypadnie dzień beżmieśny, z konieczności musi przestać na szklance smalcu gęsiego i studiuje pilnie terminarz, kiedy znowu będzie mógł wciąć sado lub słoninę. Oto karta z żywota materialisty pocziwego.

Wacław Kubacki

Zaprenumerować „ODRODZENIE” można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego

Prenumerata kwartalna 67 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

PISARZE O GŁOSOWANIU LUDOWYM

JERZY ANDRZEJEWSKI

Polityczna niezależność mniejszych państw, a do tych należy Polska, wydaje się i w chwili obecnej i w nadchodzącym okresie historycznym układem bardzo różnym od tego, co dotychczas przez pojęcie niezależności pojmowaliśmy. Błędne byłoby jednak mniemanie, iż państwa nawet tak dalece wplątane w grę mocarstw jak Polska, Grecja, Jugosławia, czy Bułgaria nie posiadają żadnych możliwości zadecydowania o swojej strukturze i swoim losie. W chwili obecnej bardzo łatwo i jednostkę i społeczeństwu przeoczyć doniosłość naszych czasów, rozminąć się z własną koniecznością historyczną i fałszywie ocenić różnorodność dokonywających się przemian. Zrozumienia wydarzeń, których widownią jest świat pierwszego roku powojennego, nie dokonają za Polskę ani Anglia czy Stany Zjednoczone, ani Rosja. Nie chciałbym twierdzić, iż wolność Polski i Polaków sprowadza się do funkcji poznawczej. Jestem natomiast głęboko przekonany, iż ocena naszych czasów i wynikające z niej realne konsekwencje są dość istotnym fundamentem naszej wolności.

W tych warunkach godny pożałowania jest fakt, iż referendum ludowe, które ma wyrazić opinię narodu w sprawach bardzo konkretnych, stało się pretekstem do wzniecenia rozgrywki politycznej, kto jest za rządem, a kto przeciw niemu. Istotny sens podobnej rozgrywki nie tylko nie akcentuje naszej niezależności, lecz przeciwnie — wciska ją niebacznie w wir interesów międzynarodowych. Nie wydaje się, aby dobrze służyli wolności naszej ojczyzny ci, którzy za sprawy całkowite wewnętrznej chcą uczynić sprawę wplątana w szereg spornych punktów pomiędzy Rosją i Anglią. I mielibyśmy powody do poważnej troski, gdyby zastrzeżenia swoje pod adresem tych czy innych poczynań obecnego rządu zechciał pewien procent społeczeństwa wyrazić w przeczących odpowiedziach na pytania referendum.

TADEUSZ BREZA

Mamy w Polsce sześć legalnych partii politycznych. Mają one różne programy i mają swoje drogi. Różnice te są niebagatelne, a zwłaszcza swoistość w wyborze niektórych dróg nie byle jaka. Mimo tych różnic przedstawiciele parlamentarni wszystkich tych partii zgodzili się na jedno: jest rzeczą konieczną zwrócić się do wszystkich ludzi w Polsce z trzema pytaniami. Poza tym zgodzili się oni jeszcze na drugą rzecz: na dwa z tych pytań należy koniecznie odpowiedzieć pozytywnie. Pytania te, a raczej odpowiedzi, na które odda się przedstawiciele wszystkich partii, dotyczą, jak wiadomo, sprawy naszych granic zachodnich oraz sprawy reformy rolnej i upaństwowienia fabryk, kopalń czy lasów.

Wydawałoby się, że przy tak ogólnej międzypartijnej zgodzie na to, aby dać pozytywną odpowiedź na dwa powyższe pytania, nie ma co dłużej tych spraw rozważać. Ale z tego co się słyszy na prawo i lewo, wolno sądzić, że w Polsce jest mnóstwo ludzi, którzy nie są ani zwolennikami orientacji, jak się to dawniej mówiło, lubelskiej, ani orientacji na wicepremiera Mikołajczyka. Nie ufają nikomu! Chcieliby zaprotestować za wszelką cenę. Tylko czy referendum jest odpowiednią chwilą do wyzwalania z siebie takiego głosu?

Polska straciła za Bugiem 180.000 kilometrów kwadratowych. Począdem odszkodował ją niejako za tę stratę terenami o wyższej wartości, ale szcuplejszymi, bo mającymi tylko 100.000 kilometrów. W tonie delegacji brytyjskiej na konferencji poczdamskiej, jak to oficjalnie w Izbie Gmin stwierdził minister Bevin, taką koncesję terytorialną uważano za przesadną. Według Anglików należało dać Polsce tylko 75.000 km². Odpowiedź na pytanie referendum w sprawie zachodnich granic jest potrzebna na zagranicę. Na zachodzie potrzebujemy terenów wielkich. Zatem w żadnym

razie głuchy protest, który może ktoś odczuwać na myśl o wielkich stratach na wschodzie, nie powinien się wyrażać w ten sposób, żeby iść na rękę tym rozwiązaniom, które chcą nas odszkodować w sposób szcuplejszy.

Inna sprawa to sprawa reformy i upaństwowienia. W tym punkcie referendum pyta o samą zasadę. W poglądzie na tę sprawę partie różnią się w szczegółach. Ale samą zasadę przyjmują wszystkie. Tak ze względu na słusność jak i ze względu na to, że nasze „miejsce na ziemi“, nasze zamieszkanie geograficzne wprost nam nie pozwala być przeciw reformie i przeciw upaństwowieniu. Bylibyśmy odosobnieni. Bylibyśmy jedyni na ogromnym obszarze Europy — inni. Ze względów gospodarczych, ze względów politycznych, już nie mówiąc nic o względach merytorycznych, taka różnica byłaby niewskazana. Toteż kiedy mi sześć partii mówi: tak, nie powiem: nie!

Tej zgody u wszystkich partii nie ma, kiedy dyskusja schodzi na senat. W tym względzie więc nie ma już musu, by głosować pozytywnie. Nie ma na to zgody wszystkich i nie ma tej absolutnej konieczności ze względów międzynarodowych. Wydaje mi się jednak, że sprawa likwidacji senatu jest przesądzona w tym momencie, w którym postanawiamy zgodzić się na to, że dobrą rzeczą jest zlikwidowanie wielkiej własności i wielkiego kapitału. Senat w gruncie rzeczy jest zawsze Izbą Lordów czy Izbą Panów. Z sejmu dowiedzieć się możemy, co o jakiejś sprawie sądzą ludzie; z senatu, co o jakiejś sprawie sądzą pieniądze. Skoro jednak nie chcemy, aby pieniąż skupił się w jednym ręku, po co zostawiać mu te usta, niczym już nie uzasadnione. Ale można by rozumieć senat jako zbiorowisko najemniejszych w narodzie: profesorów, wielkich artystów, wielkich uczonych, wielce doświadczonych polityków, którzy dożywają swoich lat na takiej emeryturze. Nie widzę powodu, dla którego byłoby sensowne wyosabiać podobnych ludzi. W sejmie chcemy mieć ludzi doświadczonych i najrozsądniejszych. Wszystko to co mamy najlepszego. W zakresie myśli, w zakresie pracy, w zakresie umiejętności organizacyjnych. Taki wieloosobowy mózg będzie czynniejszy pracując razem, niżeli podzielony na dwie komory.

TADEUSZ DOBROWOLSKI

Na wszystkie trzy pytania referendum ludowego będę głosował „tak“, co uzasadniam w następujący sposób: 1. granica wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej jest dla nas najkorzystniejsza zarówno pod względem strategicznym jak gospodarczym; 2. reforma rolna i nacjonalizacja wielkiego przemysłu są wyrazem przemian ustrojowo-gospodarczych, uwarunkowanych koniecznością historyczną, a uzasadnionych jeszcze zarówno z punktu widzenia politycznego jak etycznego; nie wydają mi się bowiem zgodne z zasadą sprawiedliwości nadmierne dysproporcje w podziale dochodu społecznego tym więcej, że przerosty w dziedzinie własności prywatnej prowadzą do zaburzeń typu moralnego i swoistego egocentryzmu; 3. dwuizbowość parlamentarną uważam za przyżytek epoki feudalnej, sprzeczny więc z natury rzeczy (w sensie logicznym) z pojęciem demokracji ludowej.

EUGENIUSZ EIBISCH

W moim mniemaniu wrogiem demokracji będzie ten, kto na pierwsze pytanie odpowie nie. Wrogiem ludu, kto by drugie pytanie niegował. Wrogiem Państwa i Narodu całego, gdyby na trzecie odpowiedział przecząco.

ZYGMUNT FIJAS

Do pewnego czasu byłem cichym przeciwnikiem nabytków terytorialnych na Zachodzie. Z uwagi na czekające nas trudności gospodarcze zdawało mi się to nie do pokonania, z uwagi na niewątpliwe potaniecie pol-

skiego węgla na rynku angielskim — byłem właściwie popiecznikiem Churchilla. Obecnie po ponownym obejrzeniu Ziemi Odzyskanych staje się przeciwnikiem polityki angielskiej.

Podobnie ma się rzecz z reformą, której owoce oglądałem tamtego roku na gorąco. Zdawało mi się, że reforma rolna w niektórych okręgach nie przyjmie się, że ziemia będzie stała ugorem, że rozbitcie wielkich woszczatów rolnych spowoduje jakieś nieobliczalne szkody dla naszego państwa, dalej, że fabryki pozbawione swych zagranicznych właścicieli zjedną na psy, że zagraniczni kapitałiści obrażeni na nas śmiertelnie zapomną o nas. Obecnie na widok zasianych pól Dolnego Śląska, na widok dymów zasnuwających niebo łódzkie znikły moje obawy.

Nie wiem jeszcze, jakie owoce wyda zniesienie senatu. Mając pewne dane, aby kandydować na senatora w państwie demokratycznym, powinienem właściwie bronić własnego interesu i głosować za samym sobą. Przypuszczam nawet, iż Rzeczpospolita poniesie wielkie szkody z powodu mej absencji na ławie senatorskiej. Przypominam sobie jednak to, co mówiłem pod adresem elitaryzmu... Ale cyt! Głosowanie przecież jest tajne!

KORNEL FILIPOWICZ

Odpowiedź „nie“ — na wszystkie trzy pytania referendum ludowego — oznaczałaby aprobatę działalności tych wszystkich sił politycznych w kraju i za granicą, które dają przez konflikty wewnętrzne do wzniecenia trzeciej wojny światowej. Odpowiedź „nie“ — na którekolwiek z trzech pytań — byłaby demonstracją zastrzeżeń wobec obecnej rzeczywistości. Lecz czy warto, czy byłoby to zgodne ze sumieniem własnym i społecznym, czując jakieś uroszczenia do istniejącego już porządku społecznego, wzmacniać stronę tych, którzy pragną nieporządku?

Nie wolno zapominać, że przemiany społeczne, które się u nas dokonały, wyzwoliły i włączyły w nasze życie nowych ludzi, których nie da się już cofnąć z powrotem do poziomu bytowania biologicznego, do życia, jakie wiodło dziewięćdziesiąt procent ludności przed wojną. Ta wyzwolona klasa jest świadoma swoich osiągnięć i będzie bronić swojej nowej roli społecznej.

Unarodowienie wielkiej własności przemysłowej jest naturalnym wynikiem przemian społecznych, jakie się dokonują na całym świecie. Przeciwnikiem może być tylko ktoś, kto traktuje życie jak loterię fantową.

Sprawa naszych nowych granic, to jakby problem nowego, lepszego mieszkania. Od naszej solidarnej postawy zależy, czy potrafimy je obronić przed złym sąsiadem z zachodu. Wystarczy spojrzeć na mapę, aby przekonać się, że nowe położenie Polski zasługuje na to, aby je utrzymać za cenę ustępstw na wschodzie.

Odpowiadając „tak“ na wszystkie trzy pytania referendum ludowego spełniamy obowiązki historyczny, obowiązek nas, ludzi przemijających, wobec zagadnień trwałych. Zdobywamy równocześnie zasadnicze prawo: wpływania na szczegóły tych zagadnień, na sposób ich realizacji, na uczynienie z nich narzędzia naszego osobistego szczęścia.

STEFAN FLUKOWSKI

Wydaje się, że ze wszystkich spraw politycznych, które można zaliczyć do najpilniejszych, pierwsze miejsce przypada przygotowaniu do konferencji pokojowej. Wojna minęła, pokój — lepszy czy gorszy — musi być zawarty. Przygotowania do zawarcia pokoju, który by na dłuższy czas stabilizował sprawę współżycia narodów, idą w różnych kierunkach, ale zmierzają do jednego celu: aby w momencie decydującym na konferencji po-

kojowej być jak najsilniejszym. To samo obowiązuje i Polskę. Nie dlatego, że chce być mocarstwem koszem innych, ale że chce żyć życiem niepodległego i kulturalnego narodu. Bowiem tylko wtedy każdy człowiek w Polsce będzie miał szanse pełnego rozwoju swoich przyrodzonych możliwości i talentów.

Wydaje się rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że siła nasza, jako narodu liczebnie nie dużego, leży w świadomej i jednolitej postawie wobec pewnych zagadnień państwowych. W tym wypadku jednolity front wewnętrzny daje naszym przedstawicielom na konferencji pokojowej pożądane atuty. Kraj musi się na to zdobyć we własnym interesie, aby żyć i rozwijać się, aby ugruntować zdobycze w zakresie reform społecznych, aby wyleczyć rany, naprawić szkody, a przede wszystkim wzmocnić swą substancję tak boleśnie i niebezpiecznie uszczuploną przez najeźdźcę. Nie wolno nam oglądać się na szczegóły, personalia, nawyki, sympatie — sprawa naszych granic, odszkodowań i naszej pozycji międzynarodowej wymaga pozytywnej odpowiedzi na wszystkie trzy kwestie będące tematem referendum.

KRYSTYNA GRZYBOWSKA

Wydaje mi się, że społeczeństwo polskie nie docenia tego olbrzymiego znaczenia, jakie mieć będzie wynik referendum na zewnątrz państwa. Nie myślę tutaj o sprawie granic zachodnich, co jest chyba dla każdego Polaka sprawą zupełnie oczywistą. Myślę o tym, że referendum powinno być świadectwem wewnętrznej konsolidacji narodu polskiego i to zarówno w oczach Wschodu jak i Zachodu. Taka jednolitość będzie świadectwem naszej siły wewnętrznej, co jest ważniejsze niż przypominanie z okazji referendum swoich egoistycznych urazów. Musimy udowodnić, że jesteśmy nie tylko zdolni, ale także, że mamy prawo brać udział w odbudowie Europy i przyszłego, lepszego świata. Taką jednolitością przysłużymy się skutecznie sprawie przyszłości, potęgą i niezależności Polski niż krzykliwymi „manifestacjami“ i „protestami“. Skończmy już raz z odwieczną wadą polskiego myślenia politycznego, nie kierujemy się prywatą i nauczymy się przechodzić do porządku nad sprawami mniej ważnymi w porównaniu ze sprawami wielkiej wagi, rozstrzygającymi o bycie Polski.

TADEUSZ HOŁUJ

Głosowanie ludowe w Polsce ma moim zdaniem znaczenie szczególne; społeczeństwo ma wydać opinię nie tylko o dokonanych już reformach, czy też związać przyszłą konstytuante w jej decyzjach ustrojowych, ale ma przede wszystkim wyrazić zrozumienie dla dokonywanych przeobrażeń społecznych, a co za tym idzie i moralnych.

1. Jestem za jednoizbowym parlamentem, który ześrodkowałby wysiłki nad jak najrychlejszą odbudową gospodarczą, polityczną i moralną społeczeństwa polskiego. Istnienie drugiej izby nie pozwala na to. Poza tym zasadniczym argumentem, nie uważam drugiej izby za instytucję konieczną, skoro sejm może składać się z takich ludzi, jakich pragnie społeczeństwo.

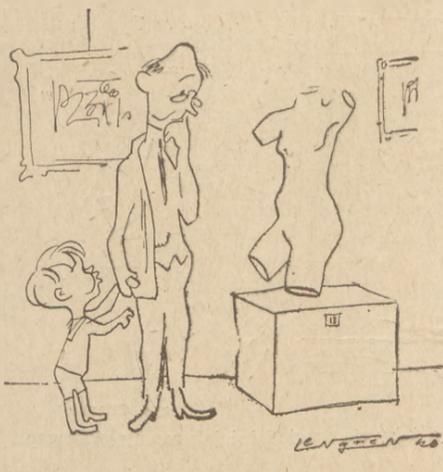
2. Jestem za reformami społeczno-gospodarczymi, gdyż stwarzają one warunki do przebudowy psychicznej człowieka, stwarzają je przez proces zmiany jego stosunku do pracy, państwa i jednostki.

3. Jestem za utrwaleniem granic zachodnich, gdyż bez nich przebudowa gospodarcza kraju byłaby niemożliwa. Uważam, że albo Polska będzie sięgała do Odry i Nysy albo w najbliższej przyszłości Niemcy sięgać będą do Wisły. Poza tym nie mam ochoty drugi raz sięgnąć w obozie koncentracyjnym.

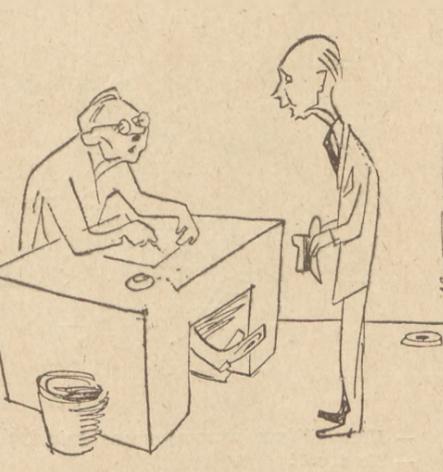
rys. Zbigniew Lengren



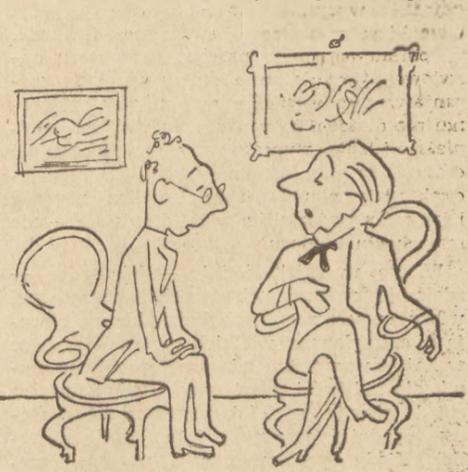
— Proszę pana! Chciałam zmienić „Byli będą“ na „Szyfowe prace“.
— Niestety panienko, tu mieści się teraz bank, a czytelnia przeniosła się do budynku Eżelni Miejskiej.



— Popatrz, tatusiu! To pewno przedstawia prezesa związku inwalidów wojennych.



— ...Zawód?
— Literat.
— Nie pytam się o tytuły, tylko z czego pan się utrzymuje...



— Czy ma pan, mistrzu, coś ze swoich rzeczy w salonie?
— Oczywiście, jedynie fortepian jest poniemiecki, a wszystko sam kupiłem w Olsztynie.

ZDZISŁAW NARDELLI

Korzystając jako pracownik Polskiego Radia z możliwości zainstalowania mikrofonów na łamach „Odrodzenia”, stwierdzam, że wypowiedź trzy razy „tak”, jako konsekwencja moich dążeń jest tak oczywista, że aż drażniła. Osobiście ubolewam, nad tym, że trzeba nam kogoś agitować dla spraw, które streścić się winny w radosnej manifestacji całego kraju.

STEFAN OTWINOWSKI

Trzeba powiedzieć, że wiele środowisk walczy w Polsce z dużymi trudnościami życia. Najwięcej trosk budzi sytuacja robotnika i pracującego inteligenta. Ale czy trudności te — znoszone przeważnie w sposób godny — zmniejszyłyby się, gdyby robotnik i twórczy inteligent znaleźli się poza sferą mogącą wpływać na kształtowanie się życia społecznego w państwie? Czy robotnik mógłby znosić trudności w sposób równie godny, gdyby nie czuł, że jego ciężka sytuacja jest zjawiskiem przejściowym, powtarzającym się po każdej wojnie — a jego perspektywy na poprawę, radykalną poprawę losu, sytuacji materialnej i kulturalnej są naprawdę nowe, całkowicie zależne od niego?

Obróńcy starego systemu stawiają za wzór robotnika, pracownika technicznego, urzędnika ruchu w przedwojennej Polsce. Zapominają o tym, że uspołecznienie pracowników już wtedy było dziełem związków zawodowych, a więc instytucji całkowicie czerpiących z socjalizmu. I dziś tylko środowiska ożywione moralnością solidarności społecznej mogą być dawane za wzór szybkiego opanowania trudności powojennych.

Ferment destrukcyjnego niezadowolenia różnie niemal wyłącznie wśród ludzi nie poczuwających się do solidarności zawodowej. Ci wolni strzelcy sabotażu, nie związani nawet z żadnym środowiskiem klasowym, wspominają często o krzywdzie, która spotkała ziemianstwo polskie. I że krzywdą ta nie ma precedensu gdzie indziej. Może. Ale i bezwład ziemianstwa nie był nigdzie tak wielki. Sfery posiadające mogły mieć olbrzymi wpływ na kształtowanie się ewolucji socjalnej w Polsce, a nie widziały nic poza swoim egoizmem. Krzywda, która ich spotkała, odpowiada rozmiarom ich ciemnoty.

Rewolucja, której jesteśmy świadkami, wpływa korzystnie na oświecenie wszystkich sklerotycznych środowisk. Przemiany w strukturze socjalnej i ekonomicznej wpływają otrzewniając na ośrodki, których kompetencja powinna być moralność międzynarodowa. Obserwujemy wreszcie w Polsce żywy ruch wśród katolików, ruch umysłowy, po którym można sobie wiele dobrego obiecywać. Wszystkie ośrodki, na których opiera się konstrukcja życia społecznego, pracują z żywością nigdy dotąd w Polsce nie obserwowaną. Potwierdzenie głównych zasad doktryny umożliwiającej dalszy rozwój rzeczy już rozpoczętych, wpłynie dobrze na rozwój naszych stosunków zagranicznych.

Referendum jest wielką próbą, której pomysłny wynik będzie w interesie tej sprawy. Pozytywna odpowiedź na postawione pytania wpłynie także na poprawę naszych stosunków wewnętrznych.

MARIAN PROMIŃSKI

Naczelną zasadą dobrze pojętej racji stanu każdego państwa jest niezależność sądu i decyzji jego obywateli w podstawowych zagadnieniach ustrojowych, stanowiących trzon państwowości. Racja stanu zmienia się tak jak optimum pociągnięcia w grze w szachy, w ścisłej zależności od pociągnięcia przeciwnika. Tej zasady Polacy jeszcze się nie nauczyli. Zbyt często usiłują zrobić dobrze pociągnięcie wtedy, kiedy ono ukazuje się już złym.

Naczelną zasadą dobrze pojętej racji stanu każdego państwa w polityce międzynarodowej jest zdobycie imienia cennego kontrahenta, który zanim nadstawi ucha na głosy ze wszystkich czterech stron świata — wykaże się taką niezależnością sądu, by i jego warto było posłuchać. Dlatego nie biadam nad tym, że Polska jest czymś w rodzaju enfant terrible wszystkich narodów świata, byleby tylko potrafiła wyzyskać swoją pozycję jęczyczka u wagi i zademonstrować swoją rację istnienia.

Dominującą cechą naszego charakteru narodowego jest dawanie kontry wszelkim zorganizowanym wysiłkom przebudowy społecznej nie dlatego, żeby się miało swój racjonalniejszy i lepiej wypracowany plan reform, ale dlatego, że tak jest dowcipniej. Historia jednak idzie nieubłaganym krokiem naprzód i jak mówią specjaliści w tej dziedzinie — nie ma zmysłu humoru.

Wierzę w ludzkość, i to — jak sądzę — zdejmuje ze mnie obowiązek bezwzględnej wiary w poszczególnych ludzi, którzy bywają p. o. kapłanami wielkich spraw. Wierzę, że w każdym wypadku uda im się osiągnąć wynik dla ludzkości pozytywny. Kiedy zabieram się do pisania powieści, poruszam się w sferze zagadnień etycznych i tam czuję się sędzią. Kiedy dotykam spraw natury społeczno-politycznej, zdaję sobie z tego sprawę, że

wkraczam w układ o wyższej hierarchii; dlatego tam czuję się już tylko podsądnym. Przed odpowiedzią na pytanie, które mi zadaje aktualny moment historyczny naszego państwa, namyśliłem się tak, jakby od tego zależała moja wolność osobista. To jest chyba obowiązkiem każdego obywatela, jeśli nie chce odejść z niesmakiem od urny głosowania ludowego i to jest najwyższą rację pozytywnego stosunku do dzieła rozumnej reformy.

JULIAN PRZYBOS

Jeśli powołaniem pisarza jest, jak sądzą jedni, stać ponad sporami chwili i być tęczą przymierza łączącą sprzeczne myśli i uczucia wszystkich; i jeśli zadaniem pisarza jest, jak żądają inni, wyprzedzać, iść w pierwszym szeregu z tymi, którzy wbrew wrogości lub bierności uprzywilejowanych i zacofanych tworzą nowe dzieje — głos pisarza w sprawie referendum może być tylko trzykrotnie potakujący i tak donośny, by był słyszany przez wszystkich.

Bo: 1) pytania poddane pod głosowanie ludowe zostały wybrane i przyjęte zgodnie przez wszystkie stronnictwa z tą myślą, by, domagając się odpowiedzi na kwestie bezsporne, zjednoczyć wszystkich Polaków w wielkiej manifestacji, wspólnej woli narodowej; 2) odpowiedź potakująca na te pytania jest zarazem manifestacją myśli i działań postępowych i twórczych w bieżącej chwili naszych dziejów.

JÓZEF SIERADZKI

Sprawa dwuizbowego parlamentu przedstawia się jak następuje:

Najpierw budowniczy wznosi izbę ustawodawczą, przypisując jej wszystkie zalety rozumu i dojrzałości, potrzebnej dla pełnienia funkcji ustawodawczej. Gdy już gmach jest gotowy, naraz konstruktora nachodzą wątpliwości, czy izba nie popełni błędów w swej pracy. Przeto dla asekuracji dodaje jej kontrolera w postaci drugiej izby czyli senatu.

Rzecz jest nierozumna i nielogiczna. W istocie zawiera się w niej inna zgola intencja. Izba wyższa jest szczytkiem ustrojów feudalnych i absolutystycznych, a jej członkowie earle, parowie, lordowie, senatorowie, biskupi, wojewodowie, kasztelanowie i wryliści są pozostałością czasów, w których lud był niczym a arystokracja wszystkim. Zachowanie takiej instytucji może być niebezpieczne w przyszłości.

Po co utrzymywać instytucje, której członkowie mogliby snuć marzenia o wyostreniu starej, wyszczerbionej szpady i wypróbowaniu spróchniałych zębów na prawach i wolności ludu?

Gdyby zablokowane polskie stronnictwa demokratyczne broniły senatu, PSL piętnowałoby to i słusznie — jako zdradę zasad. PSL dla politycznej gierki dopuściło się odstępstwa i sprzeniewierzenia wobec zasady jednoizbowości, głoszonej z dawna przez jej najwybitniejszych przywódców i wyznawanej do dziś przez ideowych członków tej partii.

W grze tej Stanisław Mikołajczyk dopuszcza się aktu, który dyskwalifikuje go jako reprezentanta programu politycznego i przywódcy partii powołanej do odegrania poważnej roli.

Takie praktyki nie przechodzą bezkarnie i pozostawiają osad demoralizacji, która ujawni się w najbliższej historii Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Nie przemawia za utrzymaniem senatu, który wszedł do konstytucji marcowej wbrew woli postępowych partij w sejmie ustawodawczym i ograniczony został do tego stopnia, iż stał się instytucją niepotrzebną. Wszystko

przemawia za zniesieniem tego przeżytku ustrojowego.

Na pierwsze więc pytanie może być tylko jedna odpowiedź — tak!

Przeświadczenie o ekonomicznej i socjalnej racji podziału własności ziemskiej na samowystarczalne gospodarstwa chłopskie, będące własnością prywatną, wejdzie w alfabety naszego politycznego myślenia. Musimy tak być gotowi do obrony tej zdobyczy socjalnej, którą zrealizowano w wielkiej akcji reformy rolnej, jak najlepsi obywatele są gotowi walczyć o mury swego miasta.

Musimy przyjąć zasadę, że gospodarstwo narodowe nie znosi monopoli, wspólnot interesów, koncernów, trustów, syndykatów i innych form kapitału finansowego, a społeczeństwo nie zejdzie z zdobytych z trudem okopów obrony dochodu społecznego przed wszelkimi zamachami kapitału zagranicznego.

Dziedzina prywatna w przemyśle i handlu, której pozostawiono pole do swobodnego działania i zapewniono żywe tempo rozwoju, będzie pozytywnym dopełnieniem gospodarki planowej. Mamy wszelkie gwarancje zdrowego rozwoju wszystkich pozytywnych sił i użytkowania dóbr, które zdobyte zostaną wysiłkiem wszystkich i dla wszystkich.

Dlatego na pytanie o reformach gospodarczo-społecznych dajemy z całą siłą przekonania odpowiedź: tak.

W roku 1918 powróciła do nas część Śląska i skrawek Pomorza z wyzebranym dostępnym do Bałtyku i szpuncem gdańskim w samym gardle Wisły, enklawą niemiecką w Prusiech, szponami wbitymi z obu stron w „korytarz” i setkami tysięcy Polaków na zachodnich ziemiach Śląska i Lubusza, poza granicą Polski.

Dziś zachodnią granicą Polski kąpię się w Odrze, a północny brzeg Bałtyku o długości z górą 500 kilometrów należy do nas! Szczecin, Kołobrzeg, Gdańsk, Wrocław, Lignica, Opole — wróciły. Jesteśmy właścicielami 5 miliardów ton węgla kamiennego. Niemcy stracili dwie śmiertelnie groźne dla nas bazy wypadowe: na północy Prusy, na południu Śląsk.

Czy może być jakakolwiek wątpliwość co do decyzji? Wypowiadając „tak” przed całym światem naród potwierdzi swą wolę utrzymania po wieczne czasy granicy na Odrze, Nysie i Bałtyku. Wątpliwość może towarzyszyć tylko nieoświeconym i głupim. Odpowiedzieć „nie” mogą na to pytanie tylko zdrajcy.

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

Merytorycznie, odpowiedź na pytania referendum jest bezsporna. Nikt rozsądny nie umiałby przecież i nawet nie usiłując głosić programu odwołania reformy rolnej czy zniesienia unarodowienia przemysłu ani też nie wzywa do cofnięcia granic Polski z grzbietu Sudetów czy znad wybrzeży Bałtyku. Ba, również w sprawie zniesienia senatu większość oponentów motywuje swe stanowisko chęcią dokuczenia „reżymowi” a nie miłością do byłego zgromadzenia starych panów, którzy pobierali pensje za przysparzanie zbędnych kłopotów. Więc o co chodzi? O „próbę sił”, rozgraną najniefortunniej, bez szkody dla rządu, a z niewątpliwą szkodą dla państwa? o poparcie programu małej Polski, ścieśnionej w dorzeczu Wisły i górnej Warty? o nowy dowód polskiego politycznego nierozumu od tyłu lat usiłującego wepchnąć Polskę w sytuację narodowo i politycznie bez wyjścia? Jakikolwiek „nie” to siekiera odrębująca gałąź, na której wszyscy siedzimy; spadnijmy, byle gałąź trafiła w głowy nam niemieci. Nie pierwszy raz niestety spotykamy się w historii polskiej z takim absurdalnym stanowiskiem. Toteż referendum będzie jakby pojedynkiem

między instynktem samozachowawczym a odruchami samobójczymi. Nie wątpię, że zwycięży instynkt ładu, rozsądku, konsekwencji i myślącego patriotyzmu. Na pytania referendum odpowiadam trzykrotnym — tak.

HELENA WIELOWIEYSKA

Na temat Referendum trudno jest napisać coś, czego ktoś jeszcze nie napisał, albo nie powiedział przez mikrofon. Ale to nic nie szkodzi; są sprawy, które powinny obchodzić wszystkich; powtarzanie tych samych argumentów nie jest plagiatem, tylko ujawnianiem swojego stanowiska. Tych argumentów jest tyle, że ciekawe jest tylko to, które dla kogo są najważniejsze czy najbliższe.

Na pierwsze pytanie odpowiem „tak” przede wszystkim dla tego, że gdyby istniały dwie izby, to przedstawiciele artystów i pracowników kultury znajdowałiby się prawdopodobnie w tej wyższej, która nie formułuje wniosków, tylko je koryguje. Głosując za utrzymaniem senatu, całkiem po prostu ograniczałabym swoje możliwości ustawodawcze w przyszłym parlamencie.

Na drugie pytanie odpowiadam naturalnie „tak”. Na marginesie: uważam że zupełność i szybkość, z jaką przeprowadzona została reforma rolna, rekompensuje złe skutki — w wielu wypadkach — niewłaściwego jej wykonania. Myślę tu o przykrych, demoralizujących faktach niszczenia ksiązek i rabunku, które miały miejsce. Nie pisze się o tym — jak gdyby złe wykonanie i błędy wykonawców w czymkolwiek podważały samą, bardzo słuszną zasadę. To źle.

Na trzecie pytanie odpowiadam czym prędzej tak, gdyż nie mam zamiaru uchodzić za ciężki przypadek psychiatryczny.

Czy fakt, że zabieram głos w tej sprawie, jest dla mnie zenujący? Nic podobnego. Wszyscy, w tej czy innej formie, w takim lub jeszcze mniejszym zakresie biorący udział w odbudowie są zdecydowani wziąć pełną odpowiedzialność za swój, zaszczytny udział w pracy koniecznej, trudnej czasem bolesnej. W dalszym ciągu uważam na przykład Horodenkę za najpiękniejszą z małych miasteczek na świecie. I kiedy zbliża się wiosna tęsknię, jak tęsknią Polacy z Wilna i Lwowa. I nie rezygnuję z oglądania jej kiedyś ordynarnie — za paszportem. Myślę o tamtych ludziach i tamtym pejzażu i wtedy przypominam sobie renesansowy portal w pewnej bramie we Wrocławiu, do której wszedłem przypadkowo, szukając ochrony przed deszczem, podczas święta kultury.

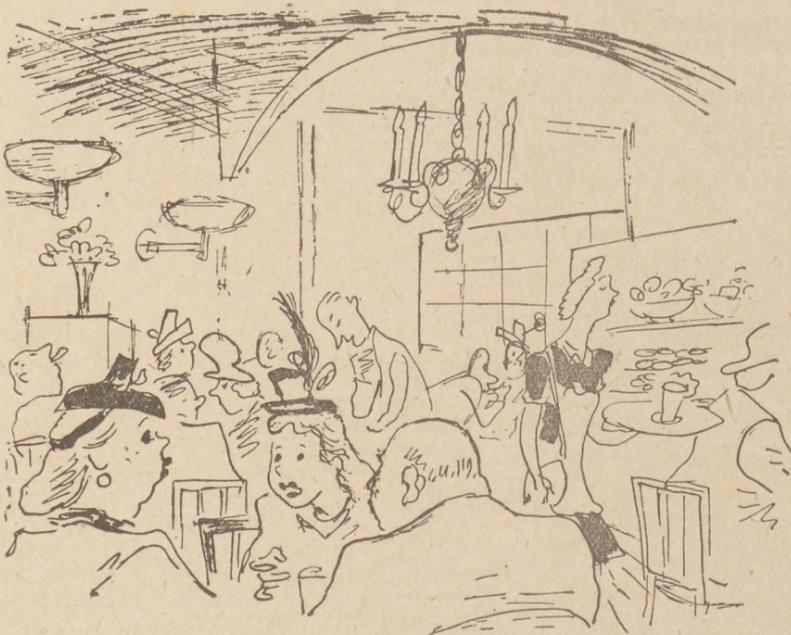
W tej samej bramie był szyld polskiej państwowej drukarni. W niej, może kiedyś wydrukuje ktoś książkę o mojej i waszej, rozumowo już przewyżnionej, a bardzo ludzkiej tęsknocie.

WITOLD WIRPSZA

Zle się stało, że sprawa referendum, a więc aktu o podstawowym znaczeniu dla państwa, stała się placem d'armes dla drugorzędnych rozgrywek partyjnych. W ten sposób została zachwiana w opinii publicznej hierarchia wartości politycznych i moralnych. Przy oddawaniu głosu winien się każdy obywatel zdobyć na zupełny obiektywizm i głosić tak, jakby różnic partyjnych w państwie nie było i jakby sam nie był uczuciowo zaangażowany po niczyjej stronie. Decydować może jedynie względem na dobro państwa i narodu — a to są rzeczy niepodzielne. Jeśli o mnie chodzi — jestem za propagandą referendum a przeciwko partyjnej agitacji wyborczej.

KAZIMIERZ WYKA

— Co to za głosowanie, w którym nikogo nie wybieram? Ja nie pójdę — tak argumentuje ktoś starszy z mojej rodziny. Odpowiadam, jak umiem. Ale zdanie mnie zastanawia, bo oprócz parlamentarnego nawyku (głosując „wybiera się kogoś”) rozświetla mechanizm szerszych zagadnień. Tłumaczy, że nie ma sytuacji, która by dla Polaków nie stawała się pretekstem, by personalnie być za kimś, być przeciw komuś. Jeżeli w referendum ludowym nikogo nie wybieram, przynajmniej niech zmanifestuję, że jestem przeciw. Przeciw rządowi personalnie, bo najważniejsze punkty działalności rządu i tak potwierdzam. Gdyby wszystkie trzy pytania referendum dotyczyły spraw tak niewątpliwych, jak granice czy upaństwowienie przemysłu, i tak by się znał sposób, ażeby — być przeciw. Starszej osobie, może trochę patetycznie, odpowiedziałem również i to: — Nikogo nie wybieram. Potwierdzam tylko całą swoją przyszłość.



rys. Charlie

— Urządziliśmy wczoraj seans spirytystyczny, żeby się dowiedzieć jak mamy głosować...
— No i co?!
— Pojawił się duch Hitlera i powiedział: Głosujcie „nie”!

Prof. U. J. Dr Józef Kostrzewski

DUR BRZUSZNY

[Typhus Abdominalis]

Stron 300 - Rycin 41 - Cena zł 500-

Z uwagi, że nakład wynosi zaledwie 1.000 egzemplarzy, należy się liczyć z rychłym wyczerpaniem tego niezmiernie cennego dzieła.

INSTYTUT WYDAWNICZY „GŁOS” I. Chodorowicza
Kraków, Szymanowskiego Roczna 17. - Tel. 567-83

5